45.

Nr. 45 (1659). Warszawa, 9 listopada 1912 r. Rok XXXII

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY SPOŁECZNY I LITERACKI

Redakcja i Administracja Widok Nr. 3 Telefon Nr. 73-80

Konik Polny i Mrówka

Gdy nastało lato, Konik Polny, znów wesół i syty, urządził w polu koncert. Przyszła wtedy do niego mrówka i rzecze:

Daj mi passe-partout, bym przynajmniej wiedziała, za co ci w zimie mam odmówić przytułku.

An. Old.

Nr 45 (1659) Rok XXXII.
9/XI Warszawa 1912 r.

PRAWDA

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Klątwa centralizmu.

Sto kilometrów kwadratowych przedziela Turcję Europejską od zagłady.

Taki tylko bowiem skrawek ziemi wokół Konstantynopola pozostał dziś w jej ręku z tych posiadłości rozległych na półwyspie Bałkańskim, których jeszcze przed miesiącem była dumną władczynią.

Gdy każdy dzień przynieść może wieść o upadku Adrjanopola, gdy najbliższy tydzień oddać może stolicę Turcji w ręce zwycięzkich Bułgarów, samo istnienie dalsze państwa Ottomańskiego staje się rzeczą niepewną.

Jakiemukolwiek jednak losowi ulegną włości padyszacha, już dziś jest rzeczą oczywistą, że los ich nie w ręku Turków spoczywa, ale w mocy gabinetów europejskich, które władne są rozporządzać się nimi, ćwiartując je na działy, sztuki i strzępy, wedle własnej woli i kaprysu.

Turcja dzisiejsza to — już nie państwo; to— gromada łupów, które sępy rozdziobią i kruki.

Ten błyskawicowy upadek wielkiego mocarstwa, będącego przez całe stulecia postrachem Europy, a które obecnie prawie od pierwszego podmuchu nawałnicy wali się z łoskotem trupa w przepaść bezpowrotną, ma w sobie coś z przeraźliwej grozy żywiołów: w ten sposób spróchniałe tylko drzewo ginie od pioruna; tylko ocean tak zatapia lepianki rybackie po zerwaniu tamy.

W tym żywiołowym starciu, które skończy się katastrofą Turcji, zawarta być musi jakaś żywiołowa i straszna prawda, którą mocarstwa najpotężniejsze na ziemi winnyby pochwycić i ognistymi wyryć głoskami na murach wszystkich państwowych instytucji.

Jak brzmi ta prawda?

Zewsząd słychać pytania, gdzie są przyczyny tak okropnego pogromu Turcji? Pytania tym niecierpliwsze, że monarchja Osmanlisów wali się niemal nazajutrz po energicznej próbie odrodzenia, jaką miała być rewolucja z roku 1908, rewolucja, która zniosła despotyczny rząd Abdul-Hamida i powołała do życia konstytucyjny ustrój o liberalnych rządach Młodo-Turków.

Zorza wolności, wcielona w system parlamentarny, która dla wszystkich narodów była zwiastunką nieznanej przedtym potęgi i rozkwitu, miałażby dla jednych tylko Turków stać się zapowiedzią zguby?

To przypuszczenie jest niedorzecznością.

Większość tedy umysłów stara się dopatrzeć przyczyn ruiny w skutkach ubocznych, jakie pociągnęła za sobą rewolucja, w czynnikach spółrzędnych z nią, w konjunkturach, które jej towarzyszyły.

Przewrót konstytucyjny w Turcji był dziełem armji. Oficerowie dokonali zamachu stanu. Zamach ów był dla państwa rzeczą zbawienną. Atoli czy się nie odbił ujemnie na wartości bojowej tej armji, która go wykonała? Która, aby go wykonać, musiała ulec fermentowi idei politycznych, musiała przetrawić długie noce na rozprawach, na ważeniu dowodów, na odbijaniu wątpliwości? Otóż są to wszystko czynniki, które na psychologję żołnierza działają rozkładowo, które go demoralizują.

W tej demoralizacji armji, tkniętej zaczynem politycznym, chcą widzieć niektórzy główny powód upadku tak nagłego Turcji.

Atoli, naszym zdaniem, pogląd ów grzeszy zbyt powierzchownym ujęciem sprawy.

Pogląd taki wystarczałby do wytłómaczenia tej lub owej porażki: nie może usprawiedliwić i wytłómaczyć *pogromu państwa*.

Ruina całej budowy państwowej tylko w całokształcie zjawisk politycznych mieć może swe przyczyny.

Rozbiory Turcji rozpoczęły się już dawno, a postępowały z niesłychaną łatwością.

Dlaczego?

Oto, dlatego, iż nieprzyjaciel najmniejszego nie spotykał oporu w samej prowincji zabieranej.

Kraj za krajem, prowincja za prowincją, odpadały od Turcji lekko i swobodnie, jakgdyby parte siłą odśrodkową, wielekroć potężniejszą od węzłów wewnętrznego zjednoczenia.

Jeżeli ludy słowiańskie zrzucały władztwo tureckie poprostu z furją radości, to również

i Egipt bez żalu rozstawał się z rządami padyszacha, przechodząc pod protektorat angielski, i Trypolitanja z ulgą powita zabór włoski.

A cóż mówić o Macedonji, gdzie krew rzekami płynęła, krew buntowników i tych, którzy bunty uśmierzali? Cóż mówić o Kurdach, o Albańczykach, o Ormianach i Grekach i Arabach?

Zali w dziejach tureckich był chociaż jeden rok bez pożaru i rzezi, choć jedna rozkwitła wiosna, nie ubroczona we krwi ludów powstańczych, które w ciągłym buncie rwały się do samodzielności, do swobody, do autonomji?

Ten system powszechnego ucisku trwał przez całe wieki, i system ten, niestety, nie uległ zmianie po r. 1908. Owszem, jeśli to było możliwe, wzmógł się jeszcze bardziej.

Młodo-Turcy rozpętali nad państwem istną orgję cetralizmu. Postanowili oni wszystkie ludy, w skład monarchji wchodzące, zottomanizować, przerobić na Turków. A więc w Grekach postanowili zabić Greków. W Ormianach chcieli zdusić Ormian. W Albańczykach unicestwić Albańczyków.

Wszystkim tym narodowościom narzucili oni wspólny język turecki w szkole, sturczyli sądy; wyparli język miejscowy z urzędów, ze stowarzyszeń, z instytucji. Setkami rozporządzeń ministerjalnych tamowali rozwój miejscowej kultury, piśmiennictwa; butem żołnierskim zamknęli usta prasy.

Czyż dziwić się można, że każde z rozporządzeń owych było jakoby klinem żelaznym, wbitym między krajem uciśnionym a całością państwa?

W monarchji ottomańskiej Turcy nie stanowili nawet połowy ludności; reszta przypadała na szereg narodowości odrębnych, pragnących żyć własnym życiem i oddychać własną kulturą.

Wystarczyło tym narodowościom wszystkim zapewnić, na wzór Austrji, autonomję poręczającą ich swobodny i nieskrępowany rozwój, a niewątpliwie państwo stałoby się potęgą tak spoistą, tak wspólnym aż do zbytku patrjotyzmem państwowym przenikniętą, jak przeniknięte są przywiązaniem do swego państwa ludy, zostające pod berłem Habsburgów.

Zarówno Czesi, Węgrzy jak Polacy, w konjunkturach dzisiejszych, uważaliby dla siebie za nieszczęście odpadnięcie od Austrji: to też wszystkie stoją na straży jej interesu; bowiem rozumieją że potęga Austrji jest rękojmią siły każdego z tych narodów zosobna.

Jakże odmienne panowały nastroje w granicach sułtanatu tureckiego!

Tam — każdy kraj, każdy naród, uważał przynależność swą do państwa za przekleństwo, znosił władztwo padyszacha, jak znosi się nieszczęście: mór, wojnę, dżumę lub pożogę.

Oto jest prawda, która dziś głosami gromów bije z kataklizmu państwowego Turcji!

Gromy te głoszą, że tylko wolność cementować może narody różne, pod jednym zjednoczone berłem; tylko przekonanie, na dnie ich duszy wyrosłe, że związek ich z państwem jest dla nich korzyścią, a zerwanie związku stałoby się szkodą.

Młodo-Turcy usiłowali państwo skuć w jedną całość **łańcuchami**; nie we wspólności inte-

ECHA PRAWDY.

Wybory na prowincji.

Narodowa Demokracja, która przegrała w Warszawie, poważny również poniosła uszczerbek na prowincji.

Mimo całej usilności wpływów, którymi grupa p. Dmowskiego rozporządza jeszcze po wsiach i folwarkach, gdzie przeważają analfabeci, zdołano przepchnąć tylko pięciu „prawowiernych" endeków.

Utrzymuje się uporczywa pogłoska, że endecja nawet tych pięciu nie zdobyłaby mandatów, gdyby nie manifestacyjnie wrogie stanowisko żydów nacjonalistów w Warszawie, którzy postawą swą zdali się usprawiedliwiać antysemicką politykę p. Dmowskiego i jego adherentów.

Tak to nacjonalizmy wszelkie wzajem się wspierają i potęgują.

Nikt inny, tylko p. Dmowski był ongi chrzcicielem nacjonalizmu żydowskiego, gdy ten przed siedmiu laty pierwsze, nieśmiałe stawiał kroki.

Pan Dmowski wówczas dojrzał go ojcowskim okiem, ośmielił, zaprawił do walki i nauczył arogancji.

Dziś za naukę, jakoby w podzięce, otrzymuje on nagrodę w postaci suggestji, przez żydównacjonalistów na polskich wyborców prowincjonalnych wywartej.

Dwa skrzydła.

Duma rosyjska, jak świadczą dotychczasowe wyniki wyborów, przedstawiać będzie osobliwy wygląd.

Oto całe zgromadzenie „przedstawicieli" narodu podzieli się na dwa skrajne skrzydła: utworzy prawicę i lewicę, natomiast środek świecić będzie nieobecnością, ten środek, na którym nazwyczaj polega siła rządu i siła państwowa.

Osobliwym też torem pójść będzie musiała gospodarka państwowa, ciągniona jednocześnie w dwie strony sprzeczne. W takich warunkach wóz polityczny pono może się nie ruszyć z miejsca.

Któż to są bowiem prawicowcy?

Są to ludzie, którzy z gospodarki państwowej pragną wziąć jak najwięcej, ale którzy nic dać jej nie chcą ani mogą.

A lewicowcy?

Ci — ustrojowi obecnemu wypowiadają wal-

resów wszystkich ludów i krajów pokładali oni zaufanie, ale w żelazie, w wyprawach karnych, w stanach wojennych, w szubienicach.

Otóż nastała pora żniw: zbierają dzisiaj plony.

Upadek Turcji.

Zamyka się krwią i zgrozą mordu przepełniony rozdział Europy. Imperjum tureckie założone we krwi, upada i znika w potokach krwi, wśród zgiełku dzikiej walki. W początkach swojej egzystencji państwo ottomańskie potrzebowało przeszło dwustu lat do zupełnego skonsolidowania. Teraz wystarczyły trzy tygodnie do całkowitej zagłady potężnej organizacji, która przez pięć wieków prawie wykonywała despotyczną i bezlitośną władzę nad najpiękniejszymi krajami Wschodniej Europy.

W literaturze i sztukach Turcy nie stworzyli dzieł godnych wzmianki. Wyprodukowali rasę żołnierską, ponieważ państwo ich mogło być utrzymane tylko przy pomocy żołnierzy. Teraz budzi zdumienie brak tych świetnych przymiotów odwagi i fanatycznej zaciętości w obronie, jakie cechowały Turków dawniej i zapewniły im tyle zdobyczy. Odwrót z pola bitwy pod Kirk—Kilisse, który się zamienił w sromotną ucieczkę, pokazał światu żołnierza tureckiego jako zdemoralizowaną istotę, nie ufającą ani swoim dowódzcom ani sobie samej.

Armja turecka doprowadzona została do nędznego stanu obecnego przez długi szereg lat zaniedbania ze strony tych co nad jej położeniem czuwać mieli obowiązek. Generałowie tureccy oddani byli tylko trosce o pieniądze i wygody życia. Brakuje im wykształcenia i wyrobienia praktycznego; wśród oficerów zaś niesubordynacja i duch buntu zniszczyły niezbędną karność. Prosta dusza żołnierska potrzebowała wiary w świętość i nietykalność sułtana, której pozbawili ją sprawcy przewrotu, 1908 r., nie dając w zamian nic. Rządzące w kraju przez cztery lata stronnictwo młodotureckie nie spełniło, ani nawet nie zapoczątkowało wielkich reform, szumnie zapowiadanych z góry. Składa się to stronnictwo z ludzi, którzy poznali cokolwiek z tajemnic cywilizacji w stolicach Zachodu, lecz w czynie państwowym i narodowym okazali taką samą zawiść, mściwość i tyranję, jak dawny sułtan, utrzymujący się na tronie tylko dzięki rywalizacji mocarstw europejskich. Przeszczepienie idei zachodnich na grunt azjatycki, bez współpracownictwa samego narodu ottomańskiego, przyczyniło się niemało do rozkładu i upadku, jaki widzimy.

Być może, iż charakter narodu nie nadawał się do forsownej ewolucji kierowanej według norm najwyższej kultury współczesnej. Od najpierwszej epoki powstania w historji Turków spotykamy figury kolosalnych wojowników, odznaczających się drapieżną siłą i okrucieństwem. Byli oni postrachem i klęską wszystkich ludów z którymi wchodzili w starcie.

Dziś sytuacja przedstawia inny widok. Zwycięzkie armje sprzymierzonych dochodzą, już pod bramy stolicy. Ostateczny kres ich usiłowań zdaje się już być bliskim. Następuje teraz okres wymagający niezwykłej przezorności i wytrwałości ze strony sprzymierzonych, jeżeli owoc ich tryumfu ma być trwały.

Przymierze bałkańskie powinno skupić się i zorganizować na nowo, aby wydobyć z siebie tę siłę jaka jedynie zabezpieczyć może jego los wobec nadchodzącego nacisku mocarstw ubiegających się o zdobycz i wpływy na półwyspie.

Na widowni dyplomatycznej zarysowują się już wyraźnie sprzeczności polityki dwóch głównych grup międzynarodowych. Prasa zagraniczna, mianowicie niemiecka, odzywa się, że podział Turcji powinien rozciągnąć się i na jej posiadłości w Azji Mniejszej. Prasa półurzędowa dotąd zachowuje

kę; na nich więc oprzeć się będzie również niepodobieństwem.

Widzimy tu, jak system wadliwy, na wadliwą pchnięty drogę, sam własną pobija się bronią.

Gwiazda Carogrodu.

Z każdym dniem siły Turków topnieją w ogniu armat bułgarskich, greckich, czarnogorskich. Wraz z hukiem tych armat, z każdym dniem coraz potężniej światu całemu narzuca się pytanie:

— Kto odziedziczy berło Konstantynów, kto odziedziczy Carogród?

I to samo echo armat, echo z pod Kirkilissy i Adrjanopola odpowiada: Bułgarzy!

Bo już trudno wierzyć aby go w ręku swych utrzymali Turcy. Europa zaś patrzy i — milczy, osłupiona.

Trudno już dzisiaj wierzyć, żeby Turcy zdołali ocalić choćby skrawek swych posiadłości europejskich, choćby zagon tej ziemi, na której po pięciuset latach jeszcze dymią krwią pobojowiska, żarzą się pod popiołami zgliszcza pożarów; na której, jak żywe rany, jątrzą się wciąż niezabliźnione piętna zbrodni, ślady zaboru, napaści, przemocy.

Te ślady zbrodni, te spaleniska i popioły stają się dziś wołaniem, które z głębi ziemi idzie na spotkanie wojsk bułgarskich; stają się odgromem, którym tętni ziemia pod ich zwycięzką stopą.

Oto, gdzie leżą prawa Bułgarów i Serbów; Greków i Czarnogórców do dziedzin zaboru Tureckiego leżą w ziemi, która krwią ich ojców przesiąkła. Siła ich spoczywa na ostrzu bagnetów, lecz prawa ich spoczywają — w ziemi.

Dziwna atoli rzecz: w miarę jak widoki Turków maleją coraz bardziej, jednocześnie z każdą niemal godziną wzrasta majestat ich stolicy. Zdaje się, jakoby poprzez szczerby i wyłomy rozpadającego się władztwa rządów tureckich błyskała znów u czoła Carogrodu starożytna gwiazda cezarów rzymskich.

O tej gwieździe we snach marzyła dyplomacja europejska: roiły o niej gabinety Petersburga i Berlina, Londynu, Paryża i Wiednia, jako o sławie niezbytej. W świetle tej gwiazdy, roziskrzonej od światowładnych ambicji przeistacza się na oczach naszych rzeczywistość: wydaje się, gdy spojrzymy na mapę przez lunetę historji, że miasto, które zajmą Bułgarzy, nie jest miastem tym samym, z którego ustąpią Turcy.

Turcy opuszczą Stambuł, będący kupą gruzów niechlujnych i zaniedbanych! Bułgarzy zdobędą Carogród, wtórą, obok Rzymu, stolicę

milczenie, zwłaszcza co do ostatecznych celów i planów swoich rządów, o których nie podaje nawet najdrobniejszych pozytywnych wskazówek.

Mamy tylko mniej więcej pewność, że propozycja p. Poincare oparta na zasadzie uznania „bezinteresowności“ wszystkich mocarstw europejskich odrzucona została przez państwa należące do Trójprzymierza. Austrja, Niemcy i Włochy postanowiły otwarcie nie rozpoczynać interwencji inaczej jak tylko na podstawie ściśle określonych interesów. Mówi się w dziennikach, jak zwykle w podobnych wypadkach o interesach ekonomicznych i o sferach wpływów, lecz w jaki sposób postulaty mocarstw europejskich mają być wprowadzone w czyn, o tym dotychczas wiedzieć niepodobna.

St. P.

Pawie pióra.

Jaki będzie wynik wyborów na posła z Warszawy? — dziś, gdy to piszemy, jeszcze niewiadomo. Wszelako, nim ukaże się N-r obecny *Prawdy*, zasłona tajemnicy już spadnie, i oczom stolicy jawi się — kto? Pan Kucharzewski? Pan Jagiełło? Pan Dawidson?

Jakkolwiek olbrzymie leżą odległości między stanowiskami tych ludzi, śmiemy twierdzić, że wybór tej nie zaś innej osobistości, że wogóle taki lub inny wynik głosowań w gronie wyborczym, nie będzie miał dla nas dużego znaczenia. Nie doda żadnego już elementu nowego do wytworzonej sytuacji. O ile prawybory były w Warszawie polem burzliwej walki w obrębie społeczeństwa polskiego, o tyle z chwilą ich dokonania, zapanowała w obozie polskim cisza. Zniweczenie dyktatury pana Dmowskiego stało się tym celem ostatecznym, którego osiągnięcie kres położyło walce partyjnej. Wyborcy listy endeckiej połączyli się z wyborcami koncentracji na gruncie wspólnej kandydatury pana Kucharzewskiego.

Moralnie tedy, już aktem rzeczonego połączenia, polska Warszawa wyboru dokonała. Zgromadzenia bowiem agitacyjne połączonych grup polskich dokonywały się na zasadzie wyborów bezpośrednich: kandydat polski wystąpił przed ludnością i opinją w swym właściwym charakterze i bezpośrednio zwracał się do wyborców.

Powszechnie się więc zgodzono, że nikt po dokonaniu prawyborów niema prawa uchylać kandydatury p. Kucharzewskiego, i jakiekolwiek w tym kierunku usiłowania byłyby nielojalnością wobec mas wyborczych, które oświadczenia publiczne słyszały i im uwierzyły.

Aliści w tym miejscu wystąpili zwartą ławą nacjonaliści żydowscy, głośno i stanowczo przeciw kandydaturze polskiej stawiąc swoje żydowskie *veto*.

Uzasadnieniem i rozwinięciem tego *veta* jest odezwa przed tygodniem wystosowana przez wyborców żydowskich do społeczeństwa polskiego, odezwa, którą w dosłownym brzmieniu podały wszystkie pisma codzienne.

Odezwa ta dziś już jest dokumentem historycznym.

Ktokolwiek odtąd w sprawie stosunku wzajemnego Żydów i Polaków głos zabierać zapragnie, nie będzie mógł odezwy tej pominąć.

Niektóre organy opinji polskiej napiętnowały ów dokument, jako przejaw arogancji żydowskiej, uniosły się, zapłonęły oburzeniem. Nawet organ asymilacji polsko-żydowskiej nie zdołał powstrzymać się od rozdrażnienia i nazwał postawę żydów-nacjonalistów manifestacją względem narodu polskiego *prowokacyjną*.

Lecz cóż głosi odezwa? Czy istotnie jest prowokacją?

Głosi ona i zapowiada ideę samodzielności tudzież odrębności polityki żydowskiej, jako polityki, mającej reprezentować interesy wyłącznie

---

chrześcijaństwa, kolebkę cywilizacji dla całego wschodu Europy, arkę cudowną, z której ludy tego wschodu brały chrzest i abecadło i podwaliny państwowe i wzory rządu i tradycje polityki.

Inaczej przedstawia się Konstantynopol od strony Azji, inaczej — od strony Europy. oto przeciwieństwo, które za dogmat polityczny uchodzi w oczach dyplomacji międzynarodowej. Dla Azji jest miasto owo jedynie wylądem, podstawą operacyjną dla dalszych podbojów. Dla Anglji, natomiast, dla Rosji lub Austrji, wedle opinji dyplomatów, stałoby się ono — kluczem świata. Czym, istotnie, Konstantynopol stałby się dla Rosji, niech odpowie Moskwa, która w XV stuleciu sięgała ze drżeniem lęku po nazwę „Trzeciego Rzymu“, jakby wyznając, że wszystko, co chce być wielkim, o tradycję greko-rzymską opierać się musi.

Dla Turków tradycja ta nie miała żadnej wymowy; była rzeczą martwą i niemą. Dla nich zarówno Akropol w Atenach, jak katedra św. Zofji w Carogrodzie były tylko zbytkiem, polem bluźnierczego kultu, które zmienić należało na świątynie kultu prawowiernego.

Stąd to wynika paradoks, który jednakże przed trybunałem dyplomacji europejskiej nabiera znamion prawdy: że, mianowicie, Bułgarzy, zdobywając Konstantynopol, biorą o wiele więcej, niżli jednocześnie tracą Turcy, jakkolwiek ci ostatni, ustępując zeń, tracą bardzo wiele. Bowiem w gospodarce państwowej Turków chrześcjańska i greko-rzymska przeszłość Konstantynopola była dla nich ciężarem, była minusem, który ich żywą siłą aktualną pomniejszał stale o pewien czynnik niezmienny a wiecznie groźny. Natomiast dla Bułgarów bizantyńska tradycja Konstantynopola stać się może plusem niezmiernej wagi. Co było dla rządów tureckich klątwą, dla Bułgarów stałoby się błogosławieństwem. Co tam było ubytkiem, tu stanie się przyrostem. Balast i więzy padyszachów zmienią się w skrzydła potęgi dla carów Bułgarji.

Mahomet II zakładając państwo swe na gruzach monarchji Paleologów, wchłonął z gruzów tych tchnienie trującego rozkładu. Król Ferdynand, po 5 stuleciach na czele armji wstępując w progi Carogrodu, odetchnie powietrzem — nieśmiertelności.

żydowskie. Hasło jej naczelne brzmi: „Obrona praw i interesów ludności żydowskiej przy możliwym współdziałaniu ze społeczeństwem polskim".

To znaczy: „Kraj nadwiślański" jest polem interesu żydowskiego; dla Polaków otwarty jest on o tyle, o ile interesy ludności polskiej sprzyjają interesom ludności żydowskiej. Co znaczy jakaś tam ludność miejscowa? Z tej ziemi nikt nie wyszedł, wszyscy zaś do niej przybyli. Jedni przybyli wpierw, drudzy przybyli później. Ale sto lat, lub dwieście lat różnicy, postaci rzeczy nie zmienia. Dla ludzkości jest sprawą obojętną, kto się ostoi w dorzeczu Wisły. Historja, jak powiada Świętochowski, po żadnym umarłym narodzie żałoby nie nosi, nie włoży jej też na pogrzebie Polaków. Żyd czuje się takim samym gospodarzem tej ziemi, jak Polak. Szolom Asz kocha równie gorąco polskie niebo i polski ugór, jak Reymont. Czy Wisła gada po polsku? Dla Polaka — tak! Dla Żyda — nie! Dla Polaka mówi ona językiem Jana z Czarnolasu; do Żyda przemawia — w żargonie.

Jest-że to prowokacja? Wybryk? Urągowisko — — ?

Nam się zdaje, że 46 wyborców żydowskich, którzy podpisami swymi i całą siłą swych w społeczeństwie stanowisk wsparli swą odezwę, uważać za prowokatorów nie można. To nie są demonstranci, którzy lekkomyślnie chcą rozpętać burzę, aby natychmiast potym zniknąć ze sceny, i śród powstałego zamętu w ukryciu zbierać plony zawieruchy. Ci ludzie czują poza sobą siłę i przemawiają imieniem tej siły. Rozgraniczają oni sferę interesu żydowskiego od sfery interesów polskich, i świadomie postanowili stać na straży pierwszego. Postanowili na jego straży stać spokojnie, ale wytrwale i niezachwianie.

Zali możemy się łudzić, że interes polski nigdzie i w niczem i nie zetrze się z interesem żydów? Tak mniemać byłoby zaślepieniem. Co roku tysiące rodzin chłopskich, odrywane od gleby rodzinnej głodem i niedostatkiem, emigrują za ocean, ginąc tam przeważnie bez śladu dla kultury i dla narodowości polskiej. Nie ulega wątpliwości, że byłoby dla sprawy polskiej rzeczą korzystną zatrzymać tę falę wychodźczą w kraju, ze wsi kierując ją do miast i miasteczek ku zdobywaniu posterunków w przemyśle, w kupiectwie, w rzemiosłach. Wszakże ta zmiana kierunku bezpośrednio godziłaby w interesy burżuazji żydowskiej, która niemal wyłącznie wszystkie te posterunki zajmuje. Oto jeden z tych mnogich punktów, na których niewątpliwie interesy żydowskie krzyżować się będą z interesami polskimi. A któż zdoła twierdzić, że przykład powyższy jest wyjątkiem?

Otóż odezwa żydów-nacjonalistów jest oświadczeniem, że na tych wszystkich punktach skrzyżowania, oni — Żydzi — solidarnie bronić będą interesu żydowskiego.

Możemy-ż się my, Polacy, za to na nich dąsać? ulegać rozdrażnieniu? wymyślać? złorzeczyć? grozić?

Byłaby to reakcja godna niedorostków. Społeczeństwo dojrzałe inaczej reagować musi.

Gdy nam ktoś wypowiada wojnę, nie wolno nam jest uchylać się od niej pod pozorem, że wojna jest rzeczą złą i niehumanitarną; bowiem, aby wyznawać idee humanitaryzmu, trzeba naprzód istnieć, trzeba naprzód móc żyć. Hasła pacyfizmu przystoją jedynie silnym i zwycięzcom; w ustach słabych i zwyciężonych brzmią one tylko jak słowa żebraniny i bezsilnej skargi. Cóż nam z tego, że kiedyś, po wiekach, wyrośnie w atmosferze braterstwa ludów, wspaniałe drzewo humanitaryzmu, pokoju i zgody, jeśli ma ono wyróść dopiero — na grobie naszym. My chcemy być w tym drzewie przyszłości jednym ze szczytowych konarów, wierzymy w to całą potęgą wiary i za nic ufności tej zrzec się nie możemy.

Wszelako, skoro nastaje walka, policzyć musimy naprzód swoje siły. Spoglądamy wokół siebie, pytając: kto idzie z nami? kto — przeciw nam? Z ufnością i otuchą witamy te gorące głosy opozycji, jakie z kół żydowskich ozwały się przeciwko dążnościom nacjonalistów. Ta żywiołowa fala protestów, jaka zalała łamy pism codziennych, świadczy, że typ nacjonalisty, na szczęście, nie jest śród żydów typem wyłącznie panującym. Liczne śród nich zastępy oświadczyły się po stronie kultury polskiej i sprawy polskiej. Oświadczenie to, oczywiście, nie może pozostać czczym hasłem: oświadczenie to musi obowiązywać, oświadczenie to jest zaciągnięciem się do szeregu.

Z tą samą powagą, z jaką przyjęliśmy wyzwanie na walkę ze strony żydów-nacjonalistów, przyjmujemy także oświadczenia przymierza i braterstwa ze strony żydów polaków: to znaczy, że ze słów tych, również jak z tamtych, wysnuwamy wnioski, które zaważą na szali życia. Nie będzie tu już miejsca ani na półsłówka, ani na półśródki. Nie będzie miejsca ani na półżydów, ani na półpolaków. Z jednej strony staną Żydzi, z drugiej Polacy.

Wszelako Żydzi, występując jako naród, podjąć będą musieli cały ten ciężki i kosztowny tabor ideowy, który my Polacy, dźwigamy od lat 150 za cenę niezmiernych wyrzeczeń, ofiar poświęceń i mozołów: ten tabor to jest—nasza duma narodowa, nasze umiłowanie ziemi, nasze wspomnienia, nasze sztandary, walki za „naszą i waszą" wolność, tęsknoty nasze i sny i męczarnie.

Płaciliśmy za nie latami wygnania, poniewierką, tułactwem, kaźniami Sybiru, życiem, młodością, krwią.

Od półtora wieku każde pokolenie z pośród nas straszliwe składa hekatomby temu bóstwu, któremu na imię: Narodowość. Co lat 15, co lat dwadzieścia, stalowy topór strychule śród nas co najbujniejsze głowy, stalowy młot miażdży nasze instytucje, nasze uczelnie, nasze stowarzyszenia. Co lat kilka wicher rozpędza dziatwę naszą po wszystkich lądach świata.

I za co? za cóż to wszystko?

Ot, za to, co wszyscy prócz nas uważają za mrzonkę, za chimerę, co najwyżej za — temat literacki.

Czyż Żydzi mniemają, że pomijając kosztowny udział w ofiarach, udział potu, łez i krwi, uczestniczyć będą mogli jedynie w zyskach, jakie narodowość daje?

Otóż, narodowość to nie jest przedsiębiorstwo.

Niechże przypomną sobie, gdzie byli wówczas, gdy ojcowie nasi usłali trupem pola Ostrołęki? gdy ginęli w lasach 63 roku? Berek Joselowicz jest wyjątkiem, który niczego nie dowodzi, skoro wiemy iż w szeregach naszych walczyła garść Włochów, Francuzów, a nawet Rosyan. Natomiast znaczna liczba Żydów doskonale robiła interesy na dostawach furażu dla wojska, przyczem było dla nich rzeczą niesłychanie obojętną, kto płaci; pytali się tylko: ile?

Nacjonaliści żydowscy wypowiadając dzisiaj

wojnę społeczeństwu polskiemu, ufają w swej potędze ekonomicznej, która istotnie jest bardzo duża. Szczycą się nią, jako godłem swej tężyzny, swej żywotności, swego zdobywczego rozpędu.

Niewątpliwie tak jest. Społeczeństwo bez gruntu materjalnego pod nogami skazane jest na zagładę. Wszakże ci, którzy dziś na pieniądz powołują się jako na prawo moralne, którzy bogactwo swe chcą uczynić orężem w walce przeciwko nam, wspomnieć powinni, że niejedna fortuna żydowska wyrosła z burzy, krwią polską gaszonej.

Lecz niedość na tem.

Autorowie odezwy występują nietylko jako apostołowie narodowości żydowskiej; występują oni jako apostołowie n a c j o n a l i z m u. Niosą oni w ręku nietylko ideę; niosą żar pochodni, ziejącej fanatyzmem szowinistów.

Jest to rzecz bardzo ważna.

Każe nam ona Żydów-nacjonalistów zwalczać nie tylko jako wrogów narodu, ale i jako zaporę postępu. Wprawdzie autorowie odezwy, w charakterystyczny dla siebie sposób, łączą nacjonalizm żydowski z powszechnymi hasłami liberalnego humanizmu. Nasza atoli rzeczą będzie kłamstwo tego związku prześwietlić i zdemaskować.

Nacjonalistyczny interes żydowski nie jest zgodny ze sprawą demokratyzmu, ale jej przeczy; przeczy interesom kultury, przeczy widokom postępu zarówno społecznego, jak ekonomicznego.

Hasła ogólno-ludzkich ideałów, którymi osłaniają się nacjonaliści żydowscy, są to tylko p i ó r a p a w i e, służące ku ozdobie bezczelnego w swej nagości egoizmu. Te pawie pióra atoli co rychlej zedrzeć z nich musimy, jak odarliśmy je z nacjonalistów polskich: okaże się wówczas, jak to naocznie mieliśmy sposobność na przykładzie grupy pana Dmowskiego się przekonać, że mniemane pawie są tylko — kogutami.

Z jakiejż to bowiem trybuny przemawiają do nas nacjonaliści żydowscy?

Przemówili z wysokości kolegjum wyborczego, w którym stanowią 58 proc., jakkolwiek ludność żydowska stanowi w Warszawie tylko 40 proc. niespełna. Ten naddatek 18 proc. zawdzięczają oni w części brakowi zgody w polskim obozie, ale niewątpliwie także i wadliwej a wysoce niedemokratycznej ustawie wyborczej, dającej przewagę b u r ż u a z j i ż y d o w s k i e j n a d p r o l e t a r j a t e m p o l s k i m. Żydzi wmawiają w nas, że kwestja żydowska idzie w parze z kwestją robotniczą i chętnie podejmuję się przedstawicielstwa interesu proletarjackiego wobec klas posiadających: atoli w łonie proletarjatu Żydzi stanowią zaledwie 5 proc., gdy cały stan mieszczański składa się w olbrzymiej większości właśnie z Żydów.

Powszechne głosowanie tudzież proporcjonalne wybory, — to co jest ostatnim wyrazem demokratyzmu w reformach konstytucyjnych, — nigdy Żydom nie dałyby podczas wyborów tych sukcesów, jakie osiągnęli obecnie w Łodzi lub Warszawie: wśród ogółu ludności Królestwa stanowią nie wiele więcej, niż $^1/_{6}$ część, zaś pośród miejskiej nie przekraczają — $^2/_{5}$ części. Przy demokratyzacji tedy kraju, pytamy: kto straci? kto skorzysta?

Rozróżniać trzeba ludność ubogą od ludności proletarjackiej. Żydzi po małych miasteczkach żyją w nędzy, trapieni głodem, brudem i chorobą, ale zaliczyć ich trzeba do burżuazji, nie zaś do proletarjatu: bowiem proletarjusz to — wytwórca; Żydzi natomiast przeważnie drobnem handlem zatrudnieni, żyją z pośrednictwa, z obracania pieniądzem: w nieznacznym stopniu są oni wytwórcami. Pełnią te czynności, które w doskonalszym ustroju ulegną zanikowi: postęp ekonomiczno-społeczny, dążąc do nawiązania jaknajbliższej styczności między wytwórcą a spożywcą, skaże na zagładę te liczne ogniwa pośrednictwa, które swoim zawodem oddawna uczynili żydzi, a tym samym wypierać będzie tych ostatnich krok za krokiem z zajmowanych stanowisk, z nieubłaganą koniecznością, podobnie jak maszyna parowa wyparła dyliżanse.

O ile tedy naród polski z wiarą i z nadzieją patrzeć może w przyszłość, oczekując poprawy swego losu, o tyle Żydzi, jako żywioł, ideały nacjonalizmu piastujący, niczego ani od demokratyzmu ani od socjalizmu, ani od wielkich reform postępu ekonomicznego, oczekiwać nie mogą.

Trzeba na to nienormalności stanu politycznego całej Rosji, pomnożonej przez horendalność stosunków, narzuconych Polsce obecnej, aby żydzi osiągnąć mogli tak przeważającą siłę w gronie wyborczym. Tej podwójnej podstawie potworności zawdzięczają Żydzi nacjonaliści swój tryumf; co więcej: zawdzięczają samą możność wydania swej odezwy, wydania z siebie głosu.

Lecz w takim razie czymże jest ów głos?

Brutalność machiny państwowej i ucisk Królestwa — zali nie tych dwóch czynników jest on wykładnikiem? Zali nie takie jest najwłaściwsze jego określenie? Jakiż bo jeszcze czynnik grać tu może rolę?

Obskurantyzm szerokich mas żydowskich?

Zapewne.—Lecz to tylko materjał. Tamte zaś dwa czynniki są przyczynami sprawczymi.

W. Rzymowski.

Wywłaszczeni.

Polityka ugodowa, prowadzona przez koła kierownicze społeczeństwa polskiego nad Wartą, otrzymała cios zabójczy. Nic nie pomogło haniebne płaszczenie się przed butem hohenzollernskim, nic nie pomogło głosowanie posłów polskich za podwyższeniem listy cywilnej, ani współuczestnictwo w paradzie dworskiej na zamku królewskim w Poznaniu. Pod parciem opinji hakatystycznej rząd postanowił wreszcie uczynić krok, przed którym wzdragał się tak długo. Uchwalona z takim mozołem cztery lata temu ustawa o wywłaszczeniu, wchodzi w życie. Pierwszą ofiarą mają się stać cztery majątki polskie w Poznańskim i w Prusach Zachodnich. Na razie obszar posiadłości, gwałtem wydzieranych Polakom, wynosi zaledwie około 1,700 hektarów t. j. mniej niż czterdziestą część tego, co Komisja kolonizacyjna ma prawo legalnie, na zasadzie uchwały sejmowej, zagrabić. Ale uczynienie tego pierwszego kroku jest faktem znamiennym, świadczącym o nieprzejednanym stanowisku hakatystycznego rządu. Żadne względy polityki wewnętrznej i zagranicznej nie mogły zachwiać tym stanowiskiem. Polityka obecnego junkierskiego rządu pruskiego będzie i nadal prowadzona pod hasłem tępienia bezwzględnego żywiołu polskiego. Staje się to jawnym nawet dla najbardziej zaślepionych ugodowością polityków po-

znańskich. Nawet *Dziennik Poznański*, który pod wrażeniem pierwszej wiadomości o uchwale Komisji kolonizacyjnej, rozdarł szaty ze smutku nad tym, iż pokojowe współżycie dwóch narodowości dozna wstrząśnięcia — nawet ten *Dziennik Poznański* pisze dziś o potrzebie walki. Jak gdyby ci panowie, którzy stoją za *Dziennikiem Poznańskim* naprawdę zdolni byli do jakiejś walki!

Naturalnie, ludzie, zmuszeni wyrzec się mrzonek ugodowych, zdobędą się na opór bierny. Odbędzie się szereg wieców protestacyjnych, ukazała się już odezwa, podpisana przez właścicieli majątków polskich a wzywająca do solidarności; właściciele majątków, bezpośrednio skazanych na wywłaszczenie, najprawdopodobniej okupią się gdzieindziej, ale nic ponadto się nie stanie.

„Nie ludźcie się! — odzywa się do hakatystów *Dziennik Kujawski*. — Nie wyprowadzicie nas z spokoju!" *Lech* gnieźnieński straszy tychże hakatystów groźbą, że „społeczeństwo polskie zachowa ból w głębi duszy i powie sobie, że w państwie, którego ochrona konstytucyjna nam się po sprawiedliwości należy, jesteśmy obywatelami drugiej klasy". Okropna groźba! *Wielkopolanin* dodaje, że „cały świat cywilizowany wyda wyrok potępienia" na wywłaszczycieli, jak gdyby ich co ten wyrok obchodził kiedykolwiek. Toż samo pismo ma pretensje o wywłaszczenie nie do Raubritterów współczesnych, lecz do Pana Boga, kończąc artykuł okrzykiem - „Doświadczasz nas strasznie Panie Boże!" *Postęp* znowuż pragnąłby zwalić winę wywłaszczenia na.. socjalistów: „Gdyby bowiem ci nie stworzyli teorji wywłaszczenia, toby ani hakatyści, ani rząd pruski nie zdobyli się na stosowanie zasady wywłaszczenia w życiu". Pisemku temu pozostaje jedyna pociecha: „zasada socjalistyczna górą, i srodze może się pomścić na jej autorach".

Nawet w takiej chwili, kiedy hakatyzm sięgnął po broń ostateczną, nie znalazło się ani jedno pismo na całym obszarze ziem polskich zaboru pruskiego, któreby przemówiło tonem, wymagającym wkroczenia prokuratora pruskiego. Nie znalazło się żadne pisemko, któreby zaryzykowało konfiskatę i ewentualny proces. Żadnemu pismu nie wyrwało się bodaj odruchowo jakieś gorętsze słowo, wzywające do zastosowania środka, na gwałt, przez Mickiewicza proponowanego. Gdzieżby tam! Narodowodemokratyczny *Kurjer Poznański* pisze o gwałcie hakatyzmu: „Nie mamy środków, jakiemi z nami walczy system pruski, ani ich mieć nie chcemy, bo się niemi brzydzimy. Ale mamy broń moralną, silniejszą od wszelkiej przemocy fizycznej".

Niestety, hakatyści i rząd pruski wiedzą doskonale, że po tradycyjnych deklamacjach o „broni moralnej" idzie bezpośrednio głosowanie za nowemi cłami i podatkami, za wydatkami militarnemi i za podwyższeniem listy cywilnej. Mogą więc sobie nic a nic nie robić z jęków i skarg reprezentowanego przez taką prasę społeczeństwa. I rzeczywiście, prasa hakatystyczna traktuje głosy pism polskich nie bez pewnego politowania, rzucając się jednocześnie na rząd, który zamiast wziąć się do wielkich obszarów polskich — zadowala się czterema małymi majątkami.

Obserwator.

Z nad Newy.

III.

Wiece przedwyborcze

Nastrój przedwyborczy w całej Rosji jest ciężki i ospały.

I, jeżeli weźmiemy pod uwagę te ramy, w jakich odbywają się na prowincji wybory do IV ej dumy, to dziwić się temu nie należy.

W Petersburgu, jest nie inaczej.

Ludzie machają ręką na sprawy polityczne i rzucają rosyjskie „plewat" i, miast na wiec, spieszą do klubu na karty, lub do restauracji.

Na wiecach spotyka się ciągle te same twarze, ciągle tych samych ludzi. Uczęszczają na nie przeważnie tylko ci wyborcy, którzy bliżej stoją ruchu politycznego i partji, elementy demokratyczne, boć bogata filisterja na żadne wiece z zasady nie uczęszcza.

Na wiecach występują przeważnie mówcy kadeccy i lewicowi, t. j. przedstawiciele „trudowików" i socjaldemokratów, przy czym stroną atakowaną i zajmującą stanowisko obronne są kadeci.

Z poza krzyżujących się cięć i razów szermierki ustnej — wychyliła się przedewszystkim ta prawda naga i smutna, że niema wśród opozycji ludzi, którzyby wierzyli w owocność jakiejkolwiek dodatniej pracy prawodawczej w przyszłej dumie.

Zmuszony był to przyznać nawet tak wytrawny i dyplomatyczny działacz polityczny, jak wódz kadetów, Milukow.

To też różnice pomiędzy stanowiskiem kadetów i „lewych" względem dumy Sablerowskiej wyrażały się głównie w tych wywodach i wnioskach, jakie z uznania Dumy za niezdolną do jakiejkolwiek pracy pożytecznej dla społeczeństwa — wysnuwano.

Gdy kadeci, stwierdzając istnienie konstytucyjnego bądź co bądź ustroju Rosji, dowodzili, że konstytucyjnymi i legalnymi tylko drogami walczyć należy o dalszy rozwój, przedstawiciele organizacji lewych, trudowicy i socjalni demokraci nazywali stanowisko to oportunistycznym i wskazywali na konieczność przeniesienia akcji politycznej poza dumę.

Poza temi zasadniczemi różnicami stanowisk politycznych, polemika między mówcami kadetów i lewicy obracała się także około samej taktyki postępowania w Dumie.

Kadeci dowodzili, że pod tym względem działalność ich nie różniła się zasadniczo od działalności lewicy, która także brała udział w obradach nad poszczególnemi, drobnemi projektami praw i także zmuszona była do kompromisów; dowodzili, że robili wszystko, co było w ich mocy, by pracę dumską skierować na tory parlamentalne, że stawali zawsze w obronie potrzeb i dążeń społeczeństwa.

Mówcy lewicy pod względem taktyki zarzucali kadetom chwiejność i oportunizm, kokietowanie bezpłodne październikowców, wreszcie bezradne pogodzenie się z obecnym stanem rzeczy.

Kandydatami na posłów od Petersburga w 2-ej kurji ze strony kadetów są: wódz kadetów, Milukow, znany i lubiany ogólnie mówca Rodiczew i Szingarew.

Ze strony socjaldemokratów zapowiadane są kandydatury: Sokołowa, adwokata przysięgłego,

Czheidze, byłego posła z Kaukazu i Kreslinskiego, adwokata przysięgłego.

Najciekawsze dla nas, Polaków, były zebrania polskich wyborców. Jedno z nich było organizowane przez komitet polski z p. Konradem Niedźwiedzkim na czele, drugie — przez grupę inteligencji „lewicowych" przekonań.

I jedno i drugie ściągnęły dość spore grono członków tutejszej kolonji. Na jednym i drugim przemawiali ci sami mówcy opozycji. Zebraniu pierwszemu przewodniczył były poseł piotrkowski, Żukowski, który też przedłożył kandydatom na posłów od Petersburga — w imieniu komitetu polskiego — szereg pytań, tyczących się ich stanowiska względem samorządu dla Królestwa, szkolnictwa polskiego, uregulowania serwitutów, wreszcie obecnej sytuacji międzynarodowej w związku ze sprawą polską. Poza tym zażądał, by b. posłowie kadeccy wytłómaczyli swe stanowisko względem wykupu D. Z. W. W., a poseł, Milukow, względem wyborów posła w Warszawie, socjaldemokraci zaś, by wyjaśnili swe stanowisko względem wniosku, zapewniającego Polakom przynajmniej 50 proc. miejsc w urzędach sądowych Królestwa.

Znamienne jest to, że ani komitet polski w swym zespole, ani p. Żukowski w szczególe— o sprawie autonomji Królestwa w swym zapytaniu nie pamiętali.

W ramach postawionych pytań obracała się cała dyskusja. Milukow przyznał, że istotnie żydzi warszawscy zwrócili się do niego w sprawie wyboru posła, że, wychodząc ze stanowiska zasadniczego, nie mógł im radzić, by wybierali człowieka, który nie uznaje równouprawnienia, lecz zarazem wskazał im na to, że posłem od Warszawy winien być Polak.

Najcięższy orzech do zgryzienia mieli mówcy kadeccy ze sprawą wykupu drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej.

Z początku Milukow i Szingarew starali się objaśnić swe głosowanie stanowiskiem zasadniczym, opartym na dążeniu do upaństwowienia wszelkich dróg i komunikacji.

Bałamutność jednak tego dowodzenia obalił b. poseł do 3-ej Dumy, Czheidze.

Dowiódł on, że kto, jak kto, ale kadeci najmniej mają prawa do operowania motywem zasadniczości.

Wszak głównym argumentem kadetów przeciwko socjaldemokratom była i jest niezrozumna zasadniczość (przyncypjalnost) tych ostatnich, nieliczenie się z rzeczywistością, z realnemi warunkami życia.

Tymczasem, cóż się działo w danym wypadku, gdy istotnie trzeba było z realnemi warunkami bytu Polaków i oczywistą tendencją rządu pozbawienia chleba licznych pracowników kolejowych — się liczyć?

Oto kadeci uznali za właściwe — stanąć na stanowisku „zasadniczym", a nieliczący się z warunkami socjaldemokraci, których dążeniem jest nie tylko upaństwowienie kolei, lecz wogóle wszelkich środków produkcji, głosowali przeciwko wykupowi.

To też kadeci w wywodach dalszych porzucili argument zasadniczości, a przyznali, że zbłądzili.

Wina przecież pospieszyli podzielić się z naszymi niefortunnymi przedstawicielami w Dumie, którzy w czasie trzeciej kadencji dumskiej trzymali się zdala od kadetów, a zerkali niedwuznacznie w stronę październikowców.

Bądź co bądź, mówcy kadeccy wypowiadali się z całą życzliwością dla sprawiedliwych żądań Polaków i obiecywali je ustami mówców w Dumie 4-ej popierać.

W mowach tych przecież—słowo „autonomja" nie zadźwięczało ani razu.

Jakby umówiono się z „politycznym" komitetem polskim, by słowa tego nie wspominać.

Kochamy się, zrobimy, co będzie można w Dumie, w której nic nie można, i—nic więcej.

Inna, ciekawa dla społeczeństwa polskiego nuta dźwięczała w przemówieniach kandydatów socjaldemokratycznych.

Wyznam szczerze, że sprawiła mi ona miłą niespodziankę.

Kandydat na posła, Sokołow, dowodząc związku sprawy polskiej ze sprawą demokratyzacji i wolności ludów Europy, żądanie autonomji dla Królestwa stawiał na pierwszym miejscu.

Uznając z przykrością, że obecna polityka rządu i nastrój Dumy czarnosecinnej muszą oddziaływać na Polaków w kierunku odpychającym, wzywał do wglądania w głąb społeczeństwa rosyjskiego i upewniał, że naród rosyjski nie może chcieć i nie chce krzywdy Polaków.

Tak, jak Koło polskie nie było wyrazicielem istotnym potrzeb i dążeń ludu polskiego, tak samo Duma—to nie naród rosyjski.

Z przemówień innego posła socjaldemokratycznego, Czheidze, dowiedzieliśmy się przykrych szczegółów co do stanowiska przedstawicieli Królestwa w sprawach narodowych.

Słowa „autonomji" Koło polskie nie wymówiło w ciągu lat pięciu ani razu *(poseł Żukowski opuścił głowę).*

Jedynymi rzecznikami autonomji byli socjaldemokraci, członkowie zaś Koła stwierdzali swe stanowisko autonomiczne tylko tym, że oklaskiwali socjaldemokratów, gdy ci wspominali o autonomji, i wyrażali im swe uznanie w kuluarach.

Co się tyczy owych 50% Polaków na służbie sądowej, to socjaldemokraci chcieli wogóle wszelką procentowość odrzucić i dlatego odrzucili wniosek. Niestety, nie dano im wnieść własnej poprawki, a wniosek odrzucono.

Na pytanie, jak zachowają się wyborcy polscy wobec kandydatów różnych obozów, zdawało się, odpowiedzieć nie trudno.

Tradycja przeszłych wyborów wskazywała, że polacy będą, pomimo wszystko, głosować na kadetów.

Szlachecko-klerykalno-zachowawcza większość kolonji tutejszej, jeżeli była dotąd kadecką nazewnątrz, to jedynie dla zamanifestowania swego opozycyjnego względem rządu stanowiska.

I oto ta większość, reprezentowana przez komitet polski, wydała instrukcję dla wyborców polskich—wprost niespodziewaną.

Ni mniej ni więcej tylko wykreśliła z listy kadeckiej Milukowa, a postawiła na jego miejsce kandydaturę — Czheidze.

Stopień niezadowolenia z kadetów, bo rewolucjonizmem tego nazwać nie wypada,—niebywały.

Na decyzję tę wpłynęła, zdaje się, głównie niefortunna interwencja Milukowa w sprawie mandatu warszawskiego.

Czy wyborcy polscy pójdą za wezwaniem, przewidzieć nie sposób, sam jednak fakt wystawienia kandydatury socjaldemokratycznej przez komitet polski, składający się z ludzi, którzy bezwarunkowo nic wspólnego pod względem spo-

łecznym z socjaldemokracją nie mają, jest niezmiernie ciekawy i znamienny.

Motywy polityczne zwyciężyły w danym wypadku przeciwieństwa społeczne.

W—ki.

Listki płonące.

Wysoko, jakom się narodził, na piętrerku czwartym, syt głodu, bliźnich, całego kramu pamięci, zbudziłem się w celi „Hotelu wielkich ludzi" obok Panteonu.

* * *

Szafarzem surowym, dającym nowe prawa, był sen mego życia. Jak rozwiązanie niewoli ludów, tajemnica jednego ducha i ciała.

* * *

Postokroć na tropie poznania, nie chciałem wierzyć. Żyłem śród gadów łakomych i wiarołomnych. Wszystkie moje zabory życia były dziełem swobodnej pogardy, wszystkie klęski moje — jednym strasznym błędem niedoceniania nikczemności człowieka, jako rodzaju.

* * *

Okrążyłem ziemię, ale nie spotkałem obiecanych braci. Poznałem prawa bogaczy i nędzarzy. Jedni i drudzy płacili światu pełną, pełniejszą od ich rozumu miarą — podłości.

Dopadłem ostatnich lodowych granic duszy ludzkiej. Dalej już była noc arktyczna, gaśnienie, wieczne czuwanie rozpaczy, choroba — zbrodnia.

Nieczynny szatan tam siedział zgarbiony na obluzganej skale i oburącz scisnąwszy kolana, tylko patrzał, wślepiał się w krwawiącą zorzę północy.

I odciąłem się odeń włosem na wieki.

* * *

Zajrzałem w kamienne oczy bałwanów, które wzniósł nad siebie urodzony łotr ekstazy: człowiek. Wstąpiłem w Panteon kultów. To była niedołężna sztuka biczowników własnego serca, głuchoniemych widzów historji, głuptaków pokory.

* * *

W sto rumianych rzek płakała rzezana trzoda ludzka. Rozszlochała się mowa człowieka, jak nieprzezwany krzyk ciężkiego konania.

Czerwony dym, czerwona zmora, czerwony dzwon.

Jak kościelny z krzyżem, postępowała na czele wszystkich uczynków troska o długowieczność, śledząca ruchy wzniesionego nad głową topora. Jak uwłosienie i zęby — tak przyrodzoną była człowiekowi ta plugawa trwoga.

Tylko na jej żądanie przyśpieszali ludzie kroku, zabijali siebie i innych lub szli do kasy składać oszczędności „na starość."

„Szli z czasem." Kłamstwo tego pochodu odczuwał każdy młodzieniec i każdy mędrzec. Bo nie na dworze, nie w komnatach płynie czas, ale w żyłach płynie, w purpurze, w tętnieniu wyostrzonej myśli. I nie raz, ale tysiąckrotnie występowała rzeka czasu z brzegów.

* * *

To ja, Danton, wpadłem na scenę teatru, i aktora, grającego rolę Króla Edypa, kazałem po pierwszym akcie tragedji wywlec za nogi na gilotynę.

Tragedya jest własnością głupców, czulków, kobiety, mózgów ograniczonych. Człowiek wolny spycha tragedyę na barki aktorów mniejszych.

Niema tragedyi! Zdechły bogi tragedyi! Ja na tragedyę plwam, ja smoka tragedyi depcę, ja — człowiek — tragedyi bestje wprzęgam, jak imperator, do rydwanu.

* * *

(Z pamiętnika). ...Mroki ujrzałem w Petersburgu. W pięcioleciu przyjścia na świat wiedziałem już, że opuściła nas macierz. Poszła za panem swoim, z którym miała dwoje ułomnych dzieci. *Ułomnych* — t. j. przeciętnych. Niegdyś człowiek poczynał się od szlachcica, dla mnie — od nadmiaru.

W dziesięć lat potym wyszła do mnie na chwilę z wagonu. Księżna pani w przyprószonych śniegiem sobolach, w bogatej petersburskiej szubie. Obok — huzar, z twarzą pijaka-idioty.

Schły, zwijały się, jak liście w spiekotę, zielone wiary moje. Pani matka była przelotem na Riwierę. Piliśmy z tej okazji na stacji herbatę. Piłem łzy wonniejsze od matczynej perfumy „Fleurs Lotos". Goręcsze jady nie żarły jeszcze piersi piętnastoletniego prometeja. Oficer pogłaskał mię upierścienioną racicą.

— Uderzyłem — mocno uderzyłem w twarz.

Odjechała na zawsze. Wszystko trwało pięć minut. Popadłem w długą — mściwą gorączkę.

Gdy umarł mój ojciec — „Patrzcie — krzyczeli — chowają psa". Nie znałem człowieka słabszego. Stoczyłem z żydami walki na pięście o polski napis na cmentarzu. Ta sama zgraja zadusiła mi genjalną siostrę, ci sami znieprawili i unurzali w błocie moją kochankę.

Miałem wtedy dwadzieścia lat. Czułem w staccatach piorunów. Cząstką ówczesnej nienawiści zawojować mogłem ziemię, gdyby mnie nie karmiono teorjami tęskliwych miłościów, „krzywdy i niedoli miljonów". Światem trzęśli lewici Karola Marksa, umocnieni w równym, powszechnym i wcale nietajnym prawie do pospolitości.

„Wróżyli z kierunku dymów fabrycznych o przyszłości".

* * *

Błąkałem się i śród „wolnych duchów". Widziałem ich w nędzy, upodleniu, w wysokich uniesieniach i głębszych jeszcze upadkach.

Tu nie było jednej głowy, wartej pięknego losu.

Gniliby po kresy ich zagrody, rozniešliby na językach człowieka, któryby im powiedział, że wszędzie, w każdym kraju byliby masą gapiów, co czeka na zdarzenia i rozkazy.

Prawdę tę jednak uświęcała nieciekawa historja ich życia, nawyknienia półpanków i rezydentów bogatego niegdyś dworu, powolność pracy — obliczonej na kilka wieków ludzkich.

Potem, gdy wpłynęli wreszcie do złotego golfu, żebrali całe życie wieczności u równych sobie kondli — sławy, sławy, której gatunkiem wzgardziłby ostatni niedobity maruder Napoleońskiej armji.

* * *

Sam jestem losem swoim! Świat, którym mię obarczyli rodziciele i spółcześni, nie jest *moim* światem, śmiech, którym mię obarczyli głupce, nie jest *moim* śmiechem.

Żadnej skruchy! Żadnego kultu! Żadnego przywiązania! To nie moje — to nizkie, pańszczyźniane słowo „przywiązanie". Nie da się pomyśleć bez cudzysłowu, bez kuli u nogi galernika.

Nie czyń spowiedzi! Po spowiedzi najgłębszej nie znajdziesz nikogo, kto by dał świadectwo coraz gniewniejszej samotności człowieka.

Kto nie odwalił od jednego zamachu całej góry fałszów, legł pod nią, zanim jeszcze wypowiedział pierwsze słowo.

Avanti.

KRYTYKA.

„Głosy wśród nocy".

(Ostatnia książka St. Brzozowskiego).

W fantastycznych opowiadaniach E. T. A. Hoffmanna pewien entuzjasta spotyka się z dziwakiem, który bierze go do siebie i śpiewa mu scenę końcową z Armidy—opery Glucka. Śpiewa z takim ogniem, uniesieniem i siłą, że młody entuzjasta rzuca mu się w objęcia i woła:

— Co to jest? Kto pan jesteś?

„On powstał — opowiada entuzjasta — i zmierzył mnie surowym, przenikliwym spojrzeniem. Lecz kiedy chciałem mu zadać jeszcze jakieś pytanie, wyszedł przez drzwi ze świecą, zostawiając mnie w ciemności. Trwało to z kwandrans. Nie spodziewałem się już, że ujrzę go znowu i chciałem otworzyć drzwi, orjentując się według miejsca, gdzie stał fortepian, gdy wtem on wszedł ze świecą w ręku, w haftowanym paradnym stroju, wspaniałej kamizelce i ze szpadą u boku.

Zatrzymałem się jak wryty. On uroczyście zbliżył się do mnie, miękko wziął mnie za rękę i rzekł z dziwnym uśmiechem:

Jam kawaler Gluck.

Ta scena przyszła mi na myśl, gdym czytał „Głosy wśród nocy" Stanisława Brzozowskiego. Zawitała ona do mnie w chwili, gdym w studjum o Lambie doszedł do tego miejsca, gdzie autor pisze, iż Lamb emeryt długie godziny trawi na odczytywaniu niezliczonych utworów dramatycznych, poczym wtrąca ustęp następujący:

„Niewątpliwie, aż nazbyt nasuwa się zarzut, że mamy tu do czynienia z ciekawością, z chęcią zatracenia właśnie niejako tragicznej własności widzenia wśród gąszczu szczegółów, — zatrzymujemy się na malowniczej, anegdotycznie rozmaitej powierzchni życia właśnie, by nie widzieć jego groźnej jedności. Wiem, że w rozpowszechnionym sposobie widzenia ta głęboka, surowa jedność niezależna od szczegółów środowiska stanowi właśnie rys wyszczególniający tragizmu. Dla wielu wyda się rzeczą niezrozumiałą, wprost niepodobną do pomyślenia, w jaki sposób opisowość szczegóły zewnętrzne mogą należeć do istoty tragicznego widzenia. Jest to jednak przesąd tylko i to przesąd nie pozbawiony zuchwalstwa, który to staje nam w drodze. Jest to przesąd, świadczący, jak do dna nie zdajemy sobie sprawy z podstaw religijnych, prawd zasadniczych i najgłębszych, na których oparta jest nasza kultura. Przesąd ten w samej rzeczy równoznaczny jest z twierdzeniem, że historja jest czymś zewnętrznym w stosunku do istoty życia ludzkiego, że istota ta, że los najgłębszy i znaczenie człowieka nie są zainteresowane w dziejowym procesie. Nasz zachodni nowoczesny świat oparty jest na wręcz przeciwnej zasadzie: historja nie jest złudzeniem, lecz głęboką rzeczywistością. Trwa ona, gdyż istota człowieka, najgłębsza prawda o nim nie są rzeczą zamkniętą i daną, lecz tworzą się i przeistaczają. Kto twierdzi, że historyczność nie może być momentem tragicznego widzenia, musi twierdzić, że nie może ona także być momentem zasadniczym prawdy religijnej, a przecież to to właśnie zasada, że najgłębsza prawda człowieka, stosunek jego do Boga jest w istocie swej rozwijającym się faktem historycznym, stanowi podstawę naszej wielkiej religji zachodniej, *rzymskiego katolicyzmu*".

W obu przytoczonych ustępach Hoffmanna i Brzozowskiego — jest jakoby duch pokrewny. I tu i tam proste zapytanie, na które możnaby było oczekiwać odpowiedzi krótkiej i prostej, wywołuje rzeczy pompatyczne i nieoczekiwane. I tu i tam jest patos uroczysty. I tu i tam odsłania się człowiek w całej okazałości, Gluck śpiewając i strojąc się w ubiór paradny, Brzozowski — czyniąc swe wyznanie wiary raz jeszcze, tym razem podnosząc się i idąc jakby na spotkanie wroga, groźnie, a przytym z odcieniem odrazy i wzgardliwości. To nagłe podnoszenie się i stawanie do walki, jakby na widok ukazującego się się w oddali niebezpieczeństwa, naogół właściwe jest Brzozowskiemu. Co do uroczystego patosu, to przytoczony ustęp należy do rzadkich u niego wyjątków. Jego patos jest zazwyczaj mocny, równy, rzekłbym — jednostajny w barwie. Studjum o Lambie było ostatnią pracą Brzozowskiego, której dokończył. I Brzozowski pisząc je *wiedział, że umiera*. To się czuje. Lecz pod innymi względami ustęp wskazany charakteryzuje naogół sposób pisania tego autora. Sprawia on nieraz niespodzianki gwałtownymi przerzutami myśli od jednej rzeczy do innej pozornie bardzo dalekiej, wstawkami polemicznymi, wycieczkami w różne strony, po których znowu wraca i nawiązuje nić przerwaną. Jest inny sposób pisania, dla którego wzorem jest matematyka. Pisarz tego rodzaju boi się wszystkiego, co go oddala od ścisłości. Jego ideałem jest jak najwięcej twierdzeń tuż na miejscu dowiedzionych, obwarowanych logicznie, lśniących rozumnie. Zupełnie inaczej jest z Brzozowskim. Spodziewa się on tryumfu nie od logiki, lecz od tego napięcia energji, która w nim jest, gdy się wypowiada.

Rzec można o nim, że filozofuje całą istotą: głową, głosem, pięścią, bo może najgłębszym, podstawowym poczuciem jego *ja* było poczucie wiekuistej obecności niebezpieczeństwa, które trzeba odpierać nieustannie. W „Głosach wśród nocy" atakuje on romantyzm i świadomość romantyczną, jako jedną z metod fałszowania rzeczywistości i niszczycielstwa życia.

„Wierze — mówi — i jestem przekonany, że *Europa, ludzkość* nie są czczymi słowami, lecz wierzę też, że można działać w nich i dla nich tylko przez swój naród. Narody to są zbiorniki gotowej już dziejowej siły; uszczuplenie jakiegoś z nich jest ogólną stratą; sprawie ludzkości służymy więc, potęgując siłę własnego narodu, rozwijając w nim zwycięski, postępowy, dumny typ człowieka. Wola jednostek, należących do różnych narodów, nic tu bezpośrednio nie może; działać ona musi po przez żywioł historji i w myśl jego praw: zoologja pojedyńcza i zbiorowa człowieka jest treścią wszelkiego idealizmu

t. j. wszelkich usiłowań stworzenia świadomej władzy nad sobą człowieka".

Lecz w jaki sposób romantyzm niszczy życie narodu, albo przynajmniej ogranicza je i tamuje? Życie jest nieustannym stawaniem się, lecz chaos może być opanowywany tylko przy pomocy powstawania coraz to nowych przeżyć i pojęć — to jest przez akt irracjonalny, przy pomocy głębokich wniknięć intuicyjnych. Człowiek, to niegotowe, niedoskonałe *ja* wobec chaosu, którego nacisk odpiera, musi mieć wiarę w siebie, w swą pełnoprawność i powagę, lecz niema prawa uznać swej psychiki za wystarczającą, za miarę innej psychiki i rzeczywistości. Nigdy nie było i nigdy nie będzie epoki, gdzieby tworzenie nowego człowieka — wiekuista rewolucyjność — miało ustać. Tymczasem romantyzm jest właśnie próbą utworzenia ideału, znalezienia takiej psychiki, która służyć by miała za wzór: chce on nadać wytworowi psychiczno-dziejowemu wartość bezwzględną. Aby tego dokonać, romantyzm odwraca się od rzeczywistości, oddziera się od niej, wyrzeka się jej, niepomny na to, że przecież to rzeczywistość, praca pokoleń, dała mu tę piękną duszę. Zajmuje on wobec rzeczywistości stanowisko oburzonego, zawiedzionego, rozczarowanego i inne postawy malowniczo uczuciowe. Zmierza jedynie ku temu, by za pomocą pracy wyobraźni psyche mogła utrzymać o sobie wysokie mniemanie. Jednym ze sprawdzianów romantycznych jest, naprzykład, cierpienie, jako dowód szlachetności duszy. W ten sposób wola ludzka zostaje tu skierowana nie ku twórczości, lecz ku zachowaniu. Takie jest w streszczeniu stanowisko Stanisława Brzozowskiego wobec romantyzmu. Romantyzm staje się czynnikiem hamującym. „Największe postaci romantyzmu polskiego — mówi on — wymagają wprost pewnego przyćmienia myśli przez uczucie". Romantyzm jest nałogiem i błędem duszy, która wyrzekając się świadomie rzeczywistości, wyrzeka się zarazem walki z chaosem, a przez to wola romantyka ulega rozkładowi. Właściwie badacz romantyzmu styka się zawsze z różnymi odmianami dezorjentacji i patologji woli. Zadaniem Brzozowskiego jest, między innymi, badając różne rodzaje romantyzmu, sprawdzać, jakiego poziomu i jakiej budowy wola utajona jest w danym romantyzmie. Lecz imieniem romantyzmu obejmuje Brzozowski obszar o wiele rozleglejszy, niż klasyfikatorowie historji literatury. Dla niego romantyzm urodził się wraz z chrześcijaństwem i żyje dotąd. Lojola i Napoleon też byli romantykami, poprzestawali bowiem na poczuciu swojej wartości, swojej indywidualności i wybierali swe cele przez wyobraźnię, nie zaś przez głęboką łączność wewnętrzną ze społeczeństwem.

W przeciwieństwie do romantyka, dla którego treść świadomości musi istnieć jako wrażenie, jako źródło uczuć i wzruszeń, ukazuje Brzozowski ludzi rzeczywistości: — Mochnackiego u nas, Dostojewskiego w Rosji. Podczas gdy prawie każdy romantyk myśli o swej psyche, że jest piękną i za pomocą swej kulturalnej wyobraźni wytwarza pewne rodzaje piękna jako sprawdziany, badacz Dostojewski ukazuje „przerażonym idealistom" podziemne życie instynktu. Ukazuje on ludziom, jakimi są istotnie, a przez to staje się wbrew woli — satyrykiem. „Tym jesteś, co wytwarzasz, co wyrasta z twego życia, nie tym, co sądzisz. Poznaj tę naturę swoją i poznawszy miej odwagę żyć tym strasznym ciałem, pracować nim i iść naprzód".

Do literatury angielskiej pociągnęło Brzozowskiego angielskie zdrowe poczucie rzeczywistości, ów humor angielski, który świadczy, że Anglik, jakimkolwiek jest, nie ucieka przed sobą podziemnym korytarzem, nie tworzy baśni o sobie, jako rodzaju ocalenia. W „Legendzie Młodej Polski", jako dowód wyższości angielskiej przytacza Brzozowski fakt, że Carlyle pisze Sartora Resartusa— niemal autoparodię, Nietzsche — Zaratustrę — dytyramb. „Carlyle nie potrzebował swej rzeczywistości przeistaczać, by czuć się siłą, nie potrzebował osamotnienia i t. d.. Tak było w „Legendzie" zaś w „Głosach wśród no-

Wiatr.

Stanisław Miłaszewski.

WIETRZE, BIJĄCY GŁOWĄ O KAMIENNE WĘGŁY,
W OBŁĄKANYCH PORYWACH POCZUJ WE MNIE BRATA,
POCZUJ, ŻE SIĘ NIEZŁOMNYM ŚLUBOWANIEM SPRZĘGŁY,
DWIE DUSZE, WICHRU SZUMNA I LUDZKA ROGATA.

WIETRZE, GUBIĄCY ŚLADY W ŚWIŚCIE I POŚWIŚCIE,
TY FARYSIE PÓŁNOCY NA MAZURSKIEM BŁOCIE...
ZA ORSZAK CI TAM SŁUŻĄ OBUMARŁE LIŚCIE, —
PRZELOTNY JASSYR, WZIĘTY PRZEZ CIEBIE W PRZELOCIE.

O WIETRZE, KTÓRY W BIEGU CHŁODNA ZIEMIA PALI,
JEŚLI NAD WSZYSTKIEM ZWIĘDŁEM MASZ WŁADZĘ ROZBOJU, —
CHWYĆ SERCE Z PIERSI MOJEJ I NIEŚ JAKNAJDALEJ
TEN NIEDORZECZNY ŁACHMAN FRYGIJSKIEGO KROJU.

cy" Brzozowski pisze: Jak to trafnie zostało zauważone przez najbystrzejszego essaystę naszych czasów S. K. Chestertona, silna jednostka nie czuje się prawie nigdy silną: silnymi czują się dekadenci. Jednostce silnej potrzebny jest cały świat i to głęboko potrzebny. Brak jej czegoś nieustannie". Przytaczam te dwa ustępy jedynie jako illustrację wnioskowania w tempie nieraz gorączkowym i tych niewątpliwych sprzeczności, które wykryćby się dały w twórczości Brzozowskiego. Błądził on nieraz i wpadał w sprzeczności, bo *szukał* i pomimo swych myśli często świetnych, oryginalnym myślicielem nie był. Był to umysł niezmiernie chłonny. Aby się rozżarzyć, potrzebował olbrzymich ilości książek i dopiero z fermentacji, z upojenia cudzymi przeżyciami tryskały z jego mózgu myśli, będące pędami od pnia umysłowości zachodu. Czytelnik, który sądzi, że w tych słowach kryje się zamiar zmniejszenia niepospolitej wartości Brzozowskiego, myli się. Czytając, naprzykład Carlyla, trafia się na stronice, które wprawiają w zdumienie: tak wiele spotyka się tam rzeczy, skupionych na małej przestrzeni, które następnie Brzozowski rozsiał po stronicach swego dzieła, jako postulaty nieodzowne. Lecz miał on olbrzymie zdolności ku temu, aby wyczuwać wschodzenie każdej nowej trawy europejskiej. Był to barometr, notujący najmniejsze drgnienie atmosfery na Zachodzie. Jego tragiczna żarliwość, aby się wywikłać z sprzeczności kultury współczesnej, aby nie uledz zatruciu miazmatami rozkładających się postaci filozofii, jest godna podziwu. Niełatwo znaleźć zarówno wśród pisarzy polskich, jak na Zachodzie tak namiętną i wrażliwą organizację, że na widok jakiegoś błędnego, a mimo to stosowanego nieraz mniemania — np. że myśl istnieje sama przez się, a życie tylko wpływa na nią — kurczy się i syczy, jak człowiek, któremu do nagiego ciała przytknięto pręt rozpalony.

Był on synem epoki, w której „rentierzy istniejącego porządku rozumowego"— racjonaliści ustąpili miejsca nowym metodom filozoficznym, wionęło świeże powietrze, świat się zolbrzymił i dziś znika to przygnębienie, które z ust Maupassant'a wydarło niegdyś rozpaczliwy okrzyk: „Artyści gonią już resztkami"... I Brzozowski, człowiek trawiony lata całe śmiertelną chorobą, miał właśnie tę moc i nadzieję odradzającej się, dążącej ku uzdrowieniu Europy.

Miał on również swe słabości. Zdaniem moim posiadał on kilka gatunków szczerości i nie zawsze stosował gatunek jej najlepszy. Jego niektóre stronice uczuciowe np. początek studium o Herzenie brzmi zbyt jrąblasto, nieszczerze. Śmiertelny wróg *używania* i on używał — używał, zachłystując się z rozkoszy. Mówię tu o Brzozowskim liryku. Jego liryzmem była mściwa ziadliwość. Na tego rodzaju upojenie pozwalał on sobie nawet wtedy, kiedy powinien był się pohamować ze względu na samego siebie. Z powodu, że Herzen snuł myśl Heglowską w kierunku własnej ludzkiej samodzielności, Brzozowski robi uwagę: „W tym samym czasie polscy filozofowie usilowali wydobyć z idei Hegla opatrzność i katolickiego osobistego boga, który pozostawał ich dłużnikiem za odsiecz wiedeńską". Bardzo pięknie. Lecz jeśli w tym samym tomie mówi się o tym Bogu (tym razem już przez duże B) katolickim z uniesieniem, to niema tu chyba tej tragicznej powagi przeżyć, o które tak chodziło Brzozowskiemu, że aż wykrywał w Nietzschem żonglerstwo, lub charakter tych przeżyć ulega tak zdumiewającym metamorfozom, że stają się one mirażem zbyt już pierzchliwym, jak na podobnego rodzaju rzeczy ciężkie i ostateczne.

Leon Choromański.

Ruch artystyczny.

Z Teatru.

Bankructwo — sztuka w 4-ch aktach Björnstjerna Björnsona. (Teatr Mały na ul. Bielańskiej). Nad sztuką unosi się surowy duch protestantyzmu, tak niemal czysty i surowy, jak powietrze w mroźny, jasny dzień na północy, gdzie żył i gdzie umarł Björnson. Cały utwór możnaby ująć w klamrę, złożoną z tekstów św. Ewangelii. Gdy na początku zasłona idzie w górę, to zda się, jakby autor podnosił rękę ku niebu do błogosławienia tłumom. A gdy na końcu spada, to w szeleście fałd wyraźnie słychać: amen, amen, amen! Pokój niech będzie ludziom dobrej woli! Nie znaczy to, aby sztuka napełniona była kaznodziejstwem, aby ją toczył rak śmiertelnego moralizmu. Któż ośmieli się twierdzić, że ewangelie są tyradą moralizatorską? Dla mnie są one obrazami dramatycznymi o niesłychanym napięciu, i na tym właśnie ich cudowne piękno polega. W Björnsonie płonął niezaprzeczony pierwiastek apostolstwa, pokrewny ewangelizmowi. Prawdziwe zaś i głęboko pojęte apostolstwo czym jest, jeśli nie walką do ostatniego tchu prowadzoną, walką na śmierć i życie? Oto, dlaczego Björnson tworzyć mógł tęgie i mocne dramaty: dramat w swej budowie oplera się na walce i oddycha walką. Tylko, że walka ta u Björnsona rozwija się ściśle według wzorów dialektyki protestanckiej: sprawiedliwość — grzech — odkupienie, oto rzec możnaby — teza, antyteza i synteza dramatów Björnsona. Mają dramaty te budowę niemal tak twardą i spoistą, jak sylogizm. Ale, ponieważ sprawiedliwość, stanowiąca ich tezę, ma powagę wszechludzką, ponieważ grzech, który się jej przeciwstawia, ma w sobie rwącą i niszczycielską siłę żywiołu, ponieważ, wreszcie, odkupienie, rozwiązujące dramat, przepojone jest miłością serdeczną i głęboką, więc utwory Björnsona żyją na scenie całą potęgą krwi i ciała; jego sylogizmy dramatyczne nietylko rozumują, ale i cierpią, jak ludzie, i jak ludzie — walczą. Tę jednak walkę, to cierpienie trzeba w nich uwydatnić, trzeba z nich wydobyć czarodziejstwem gry scenicznej; a więc przedewszystkim, skroś suchą łupinę najpowszedniejszych słów, trzeba odczuć bijący w nich rytm rzeczy wielkich, do wielkiego gadających Boga. To zaś uczynić potrafi tylko dużej miary artysta. Śród grona wykonawców sztuki na scenie Teatru Małego jeden tylko p. Jaracz owej miary dużej doségał. Co więcej: w postaci przemysłowca Tjalda, którego grał on rolę, zabił on niemal doszczętnie sylogizm dialektyczny, pozostawił tylko — człowieka. Chciałoby się rzec prawie, że talent jego pazurami i zębami wgryzł się z taką zapalczywością w tę rolę, że aż.. krew z niej pociekła. Prócz p. Jaracza przebłyski natchnienia i powagi miała w grze swej p. Żmijewska, jako Walpurga. Głos jej, zapałem i siłą wzruszenia, wzbijał się, w akcie przełomu moralnego rodziny, do tych wyżyn,

tajemnicą osłoniętych, gdzie łzy mieszają się ze śmiechem, a rozpacz — z upojeniem. Na resztę wykonawców — w ich własnym interesie — zapuśćmy zasłonę.

W. Rz.

Z Malarstwa.

Z Wystawy Towarz. Zachęty Sztuk Pięknych. Wystawę warszawską ostatnich tygodni cechuje zastanawiający brak świadomych dążeń u młodych malarzy. Ze wszystkich niemal obrazów bije praca, pietyzm i oddanie się sztuce,—zalety, warunkujące powstawanie dzieł dobrych. Nie będąc jednak skoordynowane przez zasadnicze dążenie do wytkniętego celu, stają się one lekkomyślnym wydatkowaniem drogocennej energji. Jeżeli francuską sztukę deprawuje aż nadprodukcja twórców, szukających nowych form, to sztukę warszawską niweluje brak ludzi, którzyby pojęli, iż indywidualność malarza — więc nietylko jego wrażenia optyczne, lecz wszelkie bogactwo myśli i uczuć — musi być wyrażona przez odrębność formy. Wówczas tylko może on dojść do samookreślenia przez własny styl.

Warszawscy artyści malują jednak zbyt często bez zrozumienia konsekwentnej ciągłości ich linji rozwojowej. Nie szukając, — samych siebie nie odnajdują. I tysiączne ich poświęcenia, godziny pracy i najserdeczniejsze przeżycia giną, nie wnosząc do sztuki nowych wartości. Nie talentów brak, lecz myśli kontrolującej.

Czemu to przypisać? Sądzę, iż brakowi artystycznego wychowania i malarzy i widzów. Winne temu — miasto nasze. Miljonowe miasto, bogate w teatry, koncerty i kabarety a pozbawione muzeów, bibljotek i gabinetu sztychów; miljonowe, na poły nie-uniwersyteckie miasto, pozbawione stałych wykładów z estetyki, historji sztuki, umiejętności odczuwania i patrzenia, — to wróg, niszczący wróg wszelkiej sztuki. Barbarzyński poziom wymagań publiczności takiego miasta, publiczności, roztkliwiającej się nad małomieszczańskim sentymentem kolorkowych obrazków, a niezdolnej wznieść się do zachwytu nad twórczością monumentalną, demoralizuje artystów, obniżając skalę ich zamierzeń. Któż z nich bowiem nie pragnie widzów i słuchaczy? A iluż z pośród nich z Van Goghowem zaparciem może zgodzić się na nędzę i zaśliniony kpinę „panów w tużurki i głupotę opiętych", iluż może mieć odwagę, by spędzić życie w nigdy niezniszczającym się marzeniu „o śnie na miękkich poduszkach?" Smak publiczności jest dla nich ultima ratio. Stąd rozpraszanie się, brak skupienia i myśli u artystów, nęconych deprawującą taniością smaku ogółu.

Tylko wysoki poziom kulturalny i artysty i widza może stan ten zmienić, zniszczyć beztwórczość jednostki beztwórcze, a podnieść i umocnić umysły budownicze.

A teraz słów kilka o wystawie.

Najciekawszymi utworami ostatnich dni są jedwabie p. Siedleckiego. P. Siedlecki szuka stylu. Stara się on podnieść ilustrację do tych wyżyn na jakie się wznieśli francuski Dulac czy angielski Rackham. Pragnąc operować tłem, jako plamą dekoracyjną, posługuje się złotym jedwabiem, który pięknie własnymi walorami harmonizuje się z barwną kompozycją, szkoda jednak, że artysta tak ciekawie operujący efektami kolorowymi zaniedbuje rysunek a nieraz nawet kompozycję figur — to właśnie, co ilustratorzy obcy, a przedewszystkiem Beardesley, doprowadzali do kunsztu.

Pozatem akwarele i dekoracyjne pomysły p. Brandla wybijały się ponad inne obrazy.

Mieczysław. Sterling.

Wrażenia i refleksy.

Jerzy Guranowski: **Poezye.** Serja pierwsza, 1912.

W wydanych poezjach młodego poety uderza przedewszystkim dążenie, by różnotonne odgłosy lat wielu dostroić do jednego mniej więcej kamertonu, tak pod względem techniki, jak i pojęć, ujawniając w nich ten stopień harmonji, do jakiej życie dostroiło jego duszę. W pierwszym z utworów swoich „Poeta" autor daje nam credo swe, mówiąc:

„Cóż wart jest ten, kto posiadł tłumy
Szablonem łatwych, płynnych zdań?
[illegible]
Kto stoi sam, jak górska grań!"

Jak na każdym z początkujących pisarzy, tak i na Guranowskim znać wyraźny wpływ innych poetów, najczęściej Słowackiego, Heinego i Baudelairre'a. W wydanym tomie poezji spotykamy wszystkie możliwe formy, począwszy od sonetu i kończąc na własnej, indywidualnie stworzonej formie (symfonja I, str. 50).

Na specjalne wyróżnienie zasługuje cykl „Pani Muzyka", w których to utworach przebija melodyjność i harmonja. Wiersze w cyklu tym zamieszczone, jako to „Preludjum", „Spadają łzy na ziemię", „Pieśń deszczu" i t. p. posiadają to, co Niemcy zwą „composibel"

W cyklu „Bunt duszy" wypowiada się młody poeta [illegible]

„Wzlatuję ptakiem nad ziemi powłoką
I wóz prześcigam złocistego Feba
I gardzę wami, zjadaczami chleba,
Bo wasze myśli po ziemi się wloką!"

Jako przeciwstawienie do powyższego daje autor w cyklu „Moce — Niemoce" wspomnienia swe z lat dziecinnych w formie sonetu, z pośród których piękną myślą zwraca uwagę krótki wierszyk „Budujmy dom".

Główną zaletą i dominującą cechą utworów Guranowskiego jest płynna melodyjność utworów jego, w których dźwięki muzyczne wyrażone są słowami, uplastyczniając tym refleksyjne wrażenia słuchowe. Stąd też twórczość jego jest jakby zrodzoną z muzyki, a poczucie rytmu i stylu każdej epoki bezsprzecznie w znacznej mierze przyczyniły się do najbardziej udatnych utworów autora, jakimi są jego sonety Wagnerowskie, jak to „Lohengrin", „Senta" „Tristan i Izolda", „Wotan" i „Walkirja".

Jakkolwiek nie wszystkie utwory Guranowskiego stoją na należytej wyżynie, to jednak naogół biorąc młodemu autorowi odmówić nie można szczerego talentu poetyckiego, obrazowości i pięknej formy literackiej.

Rzeczy Guranowskiego zasługują na uwagę, aczkolwiek w niektórych utworach przeważa pierwiastek intelektualny, a często chciało by się całe morze refleksji, djalektyki i alegorji wraz z scholastyczną bogobojnością i patosem — oddać za jedno drgnienie duszy.

Otto.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

⁂ Hakata jest wielką chorobą ducha niemieckiego, — pisał w tych dniach *Frankfurter Zeitung*, jeden z najpoważniejszych organów niemieckich, nawiązując treść artykułu naczelnego w sprawie interpelacji sejmowej z powodu wywłaszczenia, do idei przewodniej broszury, która niedawno temu ukazała się w Krakowie. Hakatyści wmawiali w łatwowiernych, jakoby chodziło im o kolonizację na latyfundjach szlacheckich, w imię dobra Wszechniemców. Rząd pruski uległ pod ich naporem. Ale chociaż konserwatyści oraz liberali narodowi opowiedzieli się po stronie rządu, opinja publiczna w Niemczech głęboko poruszona została stanowiskiem mniejszości. Nad „ilością głosów" zaważyła szala względów moralnych i praktycznych.

Bowiem nie mogły wyraźniej, niż obecnie zadokumentować sfery rządowe, iż w rzeczywistości wywłaszczają poprostu, aby wywłaszczać, że owe cztery małe dobra polskie, na których będzie można osadzić conajwyżej 65 kolonistów, to sztandar, trofeum wojenne, wydarte Polakom i przekazane Hakacie. W mniemaniu rządu Hakata stała się potęgą której rząd do stóp się chyli, i której składa ofiary. Dla niej rząd pogwałcił obecnie ogólnie-państwową konstytucję, stawiając Polaków poza prawem. Demokratyczne Niemcy z niepokojem patrzą w przyszłość, na burzliwe fale słowiańskiego entuzjazmu, i widzą jak rząd krótkowzroczny i słaby przeciwstawić mu się pragnie jako potęga brutalna. A przytym rząd który stosuje „środki wyjątkowe" przeciw Polakom z podszeptów Hakaty, może, dając posłuch innym głosom, takie samo skierować ostrze przeciw demokracji niemieckiej. Siewcy gwałtu zbierają już pierwsze owoce: brak zaufania swych mocodawców.

Tak pisze organ niemiecki.

Pisma polskie stwierdzają fakty i wysnuwają konsekwencje. Głosy ich zasługują na wiarę, ponieważ prasa nasza przechodzi właśnie okres wzmożonej trzeźwości. *Słowo Polskie* tak charakteryzuje nastrój w Poznańskim:

> W jednej chwili zamilkły w całym kraju spory stronnicze.
>
> Ziemianie polscy z całego W. Ks. Poznańskiego i z Prus Królewskich w kilka już dni po ogłoszeniu rozkazu wywłaszczenia zjednoczyli się w postanowieniu jednomyślnej i wytrwałej obrony zagrożonej ziemi ojczystej, chowania młodego pokolenia do walki o dobro narodowe i gorliwszego jeszcze niż dotąd udziału we wszystkich pracach narodowych. A równocześnie po wsiach i miastach mało dotąd jeszcze szanowane hasło gospodarczego popierania swoich, a systematycznego zwalczania wrogich żywiołów, obudziło się samoistnie i z wielką siłą. Opustoszały odrazu uczęszczane dotąd jeszcze przez Polaków sklepy i lokale niemieckie. wycofano także poczynione już zamówienia w fabrykach niemieckich z powołaniem się na ustawę wywłaszczającą. Ten ruch jest zdrowy i potężny. Należy tylko pragnąć, aby utrzymał się i spotężniał, dzięki niestrudzonej agitacji i utworzeniu odpowiednich instytucji, pośredniczących w ruchu przemysłowym i handlowym, oraz organizacji społecznych i politycznych projektowanych już oddawna, któreby pozwoliły na utrzymanie jednolitości w kierunku wszelkiej pracy narodowej, kulturalnej i gospodarczej.

Kurjer Warszawski daje niezmiernie trafną charakterystykę poznańczyków dnia wczorajszego i wielkiej przemiany zachodzącej wśród nich obecnie:

> Nie było w całej Polsce jednego zakątka ziemi, w którymby idea legalności politycznej tak głęboko zapuściła korzenie, jak w zaborze pruskim. Od pół wieku z górą wychowywano tam wszystkie pokolenia w pojęciach pracy i obrony legalnej, a ponieważ i w historji typ wielkopolski wyróżniał się swym pozytywizmem, więc wpływy dziedziczne w połączeniu ze współczesną tresurą polityczną wyhodowały społeczeństwo nietylko przedziwnie zrównoważone, lecz przywiązane wprost niewolniczo do litery prawa i niedostępne, nawet w chwilach najwyższego podniecenia, dla uczuć odruchowych, nie skontrolowanych sumiennie przez instynkt legalności.
>
> Ktokolwiek obserwował w zbiorowiskach młodzieży polskiej na zachodzie przedstawicieli trzech dzielnic w stosunkach korporacyjnych, ten musiał zauważyć, że typ poznański (a słowem tym określam cały zabór pruski, lubo zdaję sobie sprawę z pewnych odcieni prowincjonalnych między typem ściśle poznańskim, zachodnio-pruskim i śląskim) nigdy prawie nie mógł zbratać się ściślej z ideami, uczuciami i działaniami dwu innych zaborów. Dzielił go od nich właśnie ów niewzruszony, z mlekiem matek wyssany i przez całe wychowanie rozwijany fanatyzm legalności. I jeżeli nawet wśród tej spokojnej, w pracy zawodowej zatopionej młodzieży poznańskiej zjawił się jakiś umysł żywszy, radykalniejszy, reformatorski, nie było w nim prawie nigdy muzyki bojowej „Ody do młodości".
>
> . . . .
>
> Lecz oto nagle zagrały tu i owdzie jakieś inne tony. Nie bunt, broń Boże! Nie egzaltacja, ani rozpaczliwe „Nie mamy już nic do stracenia." Ale jakby cicha świadomość, że w tej okropnej chwili życia narodowego nie wypada wprost mówić o poszanowaniu dla prawa, gdy prawo staje się dzikim, krwiożerczym zwierzęciem. Ten i ów dziennik może jeszcze gwałt sobie zadał i wykrztusił dawne przestrogi, ale w kilku pismach dano wyraźnie do zrozumienia, że po tym, co się stało, rząd pruski chyba dziwić się już nie będzie, jeżeli trzeźwym i rozważnym kierownikom społeczeństwa ster z ręki wypadnie, jeżeli tu i owdzie jakaś pięść się podniesie i u wrót domów, z których wygania się rodziny polskie, położy się trup krwawy. To nie odezwa rokoszu, lecz przewidywanie nieszczęścia i ponure memento, że w życiu społeczeństwa poznańskiego rozpoczyna się okres mocnej jak śmierć wrogości.

Charakterystyczne „broń Boże" nie zmniejsza wyrazistości obrazu. Czytając owe echa przyszłości, tak niespodziewanie płynące ku nam z łamów prasy konserwatywnej i znajdujące realistyczny odźwięk w prasie niemieckiej, z natury rzeczy słabiej orjentującej się w sprawach polskich, nasuwa się pytanie, czy nasi politycy urzędowi, Koło Polskie w Wiedniu i socjaliści galicyjscy potrafili stanąć na wysokości zadania.

Niestety, tak nie jest. Jedynie mowę Korfantego w sejmie pruskim, zapisze naród nasz w swej historji bez komentarzy. Koło Polskie w Wiedniu wystąpiło bardzo słabo i chwiejnie,

główny nacisk kładąc na niebezpieczeństwa urojone. Uczyniło co było w jego mocy, by odwrócić uwagę ogółu od sprawy wywłaszczania. Przemówiło, jak przystoi posłom *austryjackim*, w przeddzień wojny z Rosją.

A Mirabeau socjalistów galicyjskich, poseł Ignacy Daszyński? Zamiast wykazać, że oto on właśnie w tej chwili jest istotnym reprezentantem dążeń wolnościowych narodu polskiego, był na trybunie parlamentarnej „klasowym", niby na zebraniu agitacyjnym w ujeździalni; występując jako niepodległościowiec w stosunku do Rosji, przemawiał jako państwowiec austryjacki w sprawie tyczącej Poznańskiego.

W chwili potężnego napięcia sił narodowych, „legalni" reprezentanci narodu pogubili się w swych programach. Staną na wysokości zadania, jak zwykle, — po niewczasie.

⁂ Po rocznym zawieszeniu z wyroku warszawskiej Izby Sądowej zaczął znów wychodzić *Szczutek*, najpopularniejszy obecnie tygodnik humorystyczny.

KRONIKA.

WYBORY W KRÓLESTWIE POLSKIM. Dnia 2 listopada we wszystkich okręgach wyborczych Królestwa Polskiego odbyły się zgromadzenia pełnomocników ludności celem obioru posłów do IV Dumy państwowej.

Ze 104 wyborców gub. Warszawskiej udział w głosowaniu brało 80. Posłem został p. *Marjan Kiniorski*, wiceprezes Centralnego Towarzystwa Rolniczego.

W Piotrkowie powołano na posła p. *Michała Łempickiego* 73 głosami na 109 głosujących.

W Lublinie został wybrany p. *Józef Nakonieczny*, większością 60 głosów przeciw 30.

W Siedlcach większością 53 głosów przeciwko 2, wybrano p. *Lubomira Dymszę*.

W Radomiu do wyborów przystąpiło 59 wyborców. Większością 42 głosów wybrano p. *Józefa Świeżyńskiego*.

W Kaliszu przeszedł 38 głosami p. *Alfons Par-* [illegible]

W Suwałkach wybrano krańcowego szowinistę litewskiego *ks. Józefa Laukajtisa*. Dotychczasowy poseł, adw. przys. Bulat, cofnął w ostatniej chwili swą kandydaturę.

W Łomży, 32 głosami przeciwko 4, został wybrany na posła *dr. Jan Harusewicz*.

Odbyły się również wybory na posła od t. zw „mniejszości rosyjskiej" m. Warszawy. Jednogłośnie wy- [illegible]

JUBILEUSZ TADEUSZA KORZONA. W sali kamienicy Baryczków na Starym mieście, obchodzono dnia 3 listopada jubileusz pięćdziesięciolecia pracy naukowej, wybitnego badacza, prof. Korzona.

Liczne delegacje złożyły jubilatowi hołd; przemawiali: Władysław Smoleński, który wręczył mu dyplom na członka Honorowego Towarzystwa Miłośników historji; profesor Chrzanowski w imieniu Akademji Umiejętności; profesorowie Sobieski i Dembiński w imieniu Wszechnicy Jagiellońskiej i Lwowskiej, d-r Boguszewski w imieniu Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie, p. Michalski w imieniu Instytucji Naukowych w Poznaniu.

Reprezentowane były wszystkie polskie instytucje Naukowe w Warszawie; nadeszły listy i depesze ze wszystkich stron Polski i z zagranicy.

Korzon przeżył wszystko, co uczony polski tylko

przeżyć może. twardy los i prześladowanie. Autor „Wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta", „Kościuszki", „Doli i Niedoli Jana Sobieskiego", „Dziejów wojen i wojskowości w Polsce", aż do r. 1897, do chwili objęcia zarządu Bibljoteki Ordynacji Zamojskiej — badał dzieje ojczyste wśród ustawicznego borykania się o chleb powszedni, to znowu jako wygnaniec.

GALICYJSCY MAGNACI W EPOCE PRAWA O WYWŁASZCZENIU. Czytamy w *Kulturze Polskiej*: „Wyprzedajemy się, wywłaszczamy dobrowolnie, bo oto olbrzymie dobra w Galicji, Baranow, położone nad Wisłą, w okolicy Tarnobrzega, sprzedane zostały żydom węgierskim za pięć miljonów. I uczynili to ludzie żadną podobno nie znaglesi koniecznością. Starą siedzibę Leszczyńskich, Wiśniowieckich, Lubomirskich oddali w obce i nieżyczliwe ręce ostatni właściciele panowie Dolańscy. Ziemia ulegnie parcelacji, ale co się stanie z pięknym zamkiem, który mieli zbudować jeńcy pomorscy? Starożytna i wspaniała budowla, przypominająca Wawel, zamieszkana do ostatnich czasów i pomimo pożaru, zawierająca wiele historycznych pamiątek, pójdzie też niewątpliwie na łup bezceremonjalnej drapieżności obcych rabusiów".

WIEC GNIEŹNIEŃSKI. W Gnieźnie odbył się wiec narodowy, zwołany celem zaprotestowania przeciw ustawie o wywłaszczeniu. Zgromadzenie zagaił adwokat Karpiński przypominając, że postępowanie rządu pruskiego jest jedynym w dziejach narodów ucywilizowanych. Ustawa o wywłaszczeniu jest niejako odpowiedzią na dowody naszej lojalności a niekiedy nawet płaszczenie się. Nie wolno uprawiać polityki ugody wobec rządu, który uprawia gwałt.

Poseł Seyda z Poznania mówił o systemie pruskim względem Polaków. Nowe prawo wyjątkowe jest koroną akcji germanizacyjnej, którą zapoczątkował rząd po zwycięzkiej wojnie francusko-niemieckiej. Nawet konserwatyści wahali się długo, czy dać sankcję ustawie o wywłaszczeniu w obawie, aby takie prawo nie działało rewolucyjnie. Mający być wywłaszczeni postanowili bronić się do upadłego i nie usuwać się dobrowolnie. Ustąpią oni jedynie przed przemocą. Naród niemiecki nie powinien był dopuścić uchwalenia takiego prawa, każdy Niemiec jest odpowiedzialny za nie przed naszym narodem. Wszyscy, których wywłaszczają, powinni się w kraju nanowo okupić, choćby ich miano wywłaszczać kilkakrotnie.

Po szeregu przemówień uchwalono rezolucję następującą:

„Zebrani na wiecu obywatele Polacy wyrażamy nasze najżywsze oburzenie z powodu wywłaszczenia czterech majątków polskich. Protestujemy przed całą Europą uroczyście przeciw temu najświeższemu zamachowi na istnienie nasze narodowe i ślubujemy, że i ten akt gwałtu nie złamie nas, lecz, że z tym większą energją i stanowczością bronić będziemy najświętszych dóbr naszych."

Prócz tego wśród frenetycznych oklasków wyrażono dwa następujące życzenia:

1) Aby Koło polskie w odpowiedzi na wywłaszczenie głosowało już przy najbliższej sposobności przeciw całemu budżetowi, liście cywilnej i pensji ministrów.

2) Aby Koło polskie w Berlinie w ważniejszych sprawach porozumiewało się z Kołami polskimi w Wiedniu i w Petersburgu.

W sprawie akcji obronnej przeciw wywłaszczeniu donoszą z Poznania, że odbyła się tam wielka narada, na której uchwalono zwołać wiec jeneralny, oraz cały szereg wieców miejscowych. Ułożono projekt rezolucji, jakie przedstawione będą wiecowi jeneralnemu. Rezolucje te zawierają żądanie: energiczniejszego, niż dotychczas piętnowania sprzedawczyków dobrowolnych i bezwarunkowego przestrzegania zasady „swój do swego".

FINLANDCZYCY PRZED SĄDEM ROSYJSKIM. Niedawno rozważał sąd petersburski sprawę trzech członków magistratu wyborskiego: Lagerkrantza, Palmrotha i Fagerströma, oskarżonych o „przeciwdziałanie nowemu prawu o równouprawnienie Rosjan w Finlandji".

Przed rozpoczęciem rozprawy oskarżeni złożyli umotywowane oświadczenie, w którym zaznaczają, że jako urzędnicy finlandzcy podlegają sądom finlandzkim i uważają rozstrząsanie ich sprawy przez sąd rosyjski za nieprawne, wobec czego nie będą odpowiadali na żadne zapytania sądu.

Oskarżenie popierał wiceprokurator Nienarokomow, podkreślając polityczne znaczenie przestępstwa oskarżonych. Gdy obrońcy Kuźmin-Karawajew i Pierewierziew chcieli mówić również o politycznym znaczeniu [illegible]

Wszystkich trzech oskarżonych skazano na pół roku więzienia bez ograniczenia praw i usunięcia ze służby.

ZMARLI. Jan Gall, wybitny muzyk i kompozytor [illegible]

Kształcił się w konserwatorjum wiedeńskim i monachijskim, następnie objął w Lipsku artystyczne kierownictwo Towarzystwa śpiewaczego „Andante". W r. 1880 został dyrygentem Galicyjskiego Tow. Muzycznego we Lwowie. W r. 1886 objął stanowisko profesora śpiewu w Konserwatorjum Krakowskim. Osiadłszy we Lwowie został dyrektorem w stowarzyszeniu „Echo". Na stanowisku tym pozostawał do chwili ostatniej.

Na jego dorobek muzyczny złożyło się kilkadziesiąt pieśni, kompozycje fortepianowe, transkrypcje pieśni ludowych i narodowych na chóry męskie i mieszane a nadto mniejsze i większe kompozycje oryginalne na chór męski i mieszany.

Wyszedł z druku XVIII (75) zeszyt **Steru** i zawiera: Akcja Związku równouprawnienia kobiet polskich — List do p. J. Kucharzewskiego — Odezwa do kandydatów na posłów — Akcja Oddziału w Radomiu — Z Kalisza— Akcja Polskiego Stowarzyszenia kobiet —„Aż trzydzieści lat namysłu", przez włościankę — Z ruchu kobiecego w Galicji H. Pawlewskiej — „Wedle stawu grobla" — Echa — Książki nadesłane do Redakcji — Nowe pismo— Odpowiedzi — Od Administracji — Ogłoszenia.

Do numeru bieżącego dołączamy prospekt wydawnictwa naukowego Henryka Lindenfelda

---

Za redaktora: Wincenty Rzymowski. **Wydawca: Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, Ś-to Krzyska 11.

Perły aforyzmów.

Tylko żadnego szowinizmu, panowie!

Należy wszystkich ludzi jednakowo nienawidzieć.

Karol Kraus.

Artysta żyć powinien w całej surowości *ładu* duchowego; podziw nie powinien się doń zbliżać inaczej jak z szacunkiem, a zachwyt pozbawiony surowej powagi najsroższą jest obelgą.

Ernest Hello.

Z poezji humorystycznej Wschodu

(z japońskiego).

DO ZDARTEJ MIOTŁY.

O miotło moja, nicześ warta,
już na spoczynek sobie idź,
Łysy masz łeb, z liściaś odarta,
jedynie bonzą możesz być.

STAROŚĆ.

Starość — to nieproszony gość,
niestraszny gdyśmy młodzi...
Nie powiedziałem jeszcze — Dość!
a on w próg domu wchodzi.
Cóż robić? Gość, jak z nieba, spadł,
w objęciach już mnie trzyma, —
więc rzekłem:--Bardzom, bardzom rad,
tylko mnie... w domu niema!

spolszczył *Remigjusz Kwiatkowski.*

Prenumerata „Prawdy"
wraz z bezplatnym dodatk:

[illegible]

z przesylką poczt. do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10

[illegible]

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedzialki, wtorki i soboty między 2-ą a 3-ą. p. p. **Kierownik** literacki przyjmuje w środy i piątki między 3ą a 4ą.

Rękopisów nie odsyla się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadeslaniu kosztów przesylki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieoplaconych lub niedostatecz- [illegible]

[illegible]
za 1/8 30.— za 1/4 15.—
za 1/8 7.50
Oklad. str. 1-a Rb. 80.— za 1/2 40.—za 1/4 20 —za 1/8 10.—

Przedplatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

[illegible]

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. [illegible]

Drukarnia L. Boguslawskiego, Warszawa, Świętokrzyska 11. Telefon 195-52.